W numerze: Magister bez zawodu • W Polsce środkowej brak miejsca na stepy... • Studenci • Zawadiacka awantura • Jak ongi papierosy palono • Rdza • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosu

ODZNAKA HONOROWA M. ŁODZI

Nr 6 (362)
14. II. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

BERNARD KOWALSKI

Chłopcy z domów poprawczych

Dla przeciętnego obywatela już sama nazwa, zakład poprawczy, przywodzi na myśl wysokie mury, żelazne bramy i druty kolczaste. Ciemne i ponure cele zamykane na klucz oraz blade twarze przestępców dopełniają wizji instytucji, o której mówi się z pewną powściągliwością.

Zakład Poprawczy w K. robi wrażenie Szkoły Tysiąclecia i przypadkowy obserwator dziwi się, że taka piękna szkoła położona jest na odludziu, daleko od miasta. Dopiero widok strażnika w czarnym mundurze, dzwoniącego pękiem kluczy i podejrzliwie spoglądającego na intruza, utwierdza mnie, że trafiłem pod właściwy adres.

Na wstępie zwykłe formalności: do kogo? po co? Pierwsze wrażenie jest przyjemne: podłogi w hallu i korytarzach niby lustra odbijają postacie przechodzących. Na ścianach — popularna grafika.

Dyrektor nieobecny, toteż zajmuje się mną kierownik internatu pan Ryszard. Wysoki, siwy, w grubych okularach, robi wrażenie oficera przeniesionego do rezerwy.

— Naszym zadaniem — mówi pan Ryszard — jest w możliwie najkrótszym czasie przywrócić społeczeństwu tę młodzież, która z różnych powodów wstąpiła na drogę przestępstwa. Całą pracę pedagogiczno-wychowawczą określa się jednym modnym obecnie słówkiem — resocjalizacja. Jest to ciężkie i odpowiedzialne zadanie. Proszę mi wierzyć, że listy, jakie otrzymuję od moich byłych wychowanków, są najlepszą rekompensatą za moją pracę, którą jako pedagog wykonuję w zakładach tego typu od lat piętnastu. Ot, chociażby ten list! — Tu p. Ryszard wyjmuje z szafy plik różnych kopert i wybiera z nich jedną. Proszę przeczytać. Ten chłopiec był niegdyś mordercą i złodziejem. Dziś jest technikiem-chemikiem pracuje w Oświęcimiu. To wspaniały chłopiec!

Biorę list do ręki z mieszanymi uczuciami. „...jeszcze raz dziękuję Panu Wychowawcy za to, że uczynił ze mnie człowieka..." i dalej: „Pracuję obecnie na drugiej zmianie, a gdy wracam do domu, córeczka już śpi. Jest podobna do mnie, tylko oczy ma niebieskie, takie jak żona",

* * *

W Zakładzie Poprawczym w K. pozostaję przez kilka dni. Obserwuję chłopców, rozmawiam z nimi. Szczególnie szybko nawiązują znajomość w palarni. Tu palą wszyscy, nawet ci najmniejsi, trzynastoletni. Mały Jurek ze Zduńskiej Woli, który okradał własnego ojca, wypala dziennie około 40 papierosów. Mowią chętnie i dużo. Często ponosi ich fantazja, przeważnie gdy opowiadają o swoich „wyskokach", napadach na przechodniów, „załatwianiu sklepów", o pijackich melinach. Są młodzi, impulsywni, chcą imponować. Niektórzy wytatuowani na całym ciele. Niektóre z tatuaży mają swoje umowne znaczenie. Np. kropka na prawym policzku i księżyc w rozwidleniu kciuka i palca wskazującego prawej ręki znamionują nocnego złodzieja. Identyczne tatuaże umieszczone na lewym policzku i w rozwidleniu kciuka i palca wskazującego ręki lewej charakteryzują alfonsa. Ilość wspólników w gangu oznacza się wytatuowaniem odpowiedniej ilości kropek na palcach itp.

Mówi Jurek Ż. lat 15, niski, pucołowaty blondynek o dobrodusznym wejrzeniu. Pali papierosa za papierosem i ciągle się uśmiecha. „Do domu nie wrócę. Do kogo? Matka chodzi w „ormo", a ja tylko przeszkadzam. Nie lubię jej. Byłem zawsze u dziadka, on mnie uczył. Matka kazała kraść, to kradłem". A co mówią akta: „Jerzy Ż. lat 15, jako dziesięcioletnie dziecko pił wódkę poza domem i kradł pieniądze. W domu do picia namawiali go mężczyźni, przychodzący do matki. Wtedy też nauczył się palić papierosy. Gdy wrócił kiedyś pijany, dziadek zbił go pasem tak mocno, że chłopiec dostał szoku. Przebywał następnie kilka lat pod opieką Wojewódzkiej Poradni Zdrowia Psychicznego oraz był leczony w Sanatorium Neuropsychiatrii Dziecięcej. Okradał pasażerów tramwajów, przechodniów, domy prywatne. Schwytany przez MO w momencie włamania się do kiosku. Opinia psychologa: poziom umysłowy na dolnej granicy normy. Niski poziom wiadomości ogólnych i ubogi słownik. Opinia o rodzinie: Matka Maria lat 45. Wykształcenie — 9 klas. Panna. Pracuje w MPK. Zarobek łącznie z rodzinnym 1800 zł. Często zmienia przyjaciół. Ma pięcioro dzieci, każde po innym ojcu. Matka nie wie, kto jest ojcem jej dzieci. Jurek, jak stwierdza sama, był poczęty w stanie nietrzeźwym".

Dalszy ciąg na str. 5

KONRAD FREJDLICH

WERBUSY

I

Tego poczucia osamotnienia trzeba się uczyć dwa, nie — trzy razy, coraz inaczej, dokładniej. Na dworcu w Zabrzu zrywa się ostatnia, cieniutka niteczka, która łączyła ze starym światem. Dymek z wagonu ogrzewczego opadł na perony. Więc przeszłość już odległa, nierealna, gdzieś na końcu szyn. Drzwi prowadzą do poczekalni. To naturalne, w takim razie człowiek szuka czegoś mocniejszego, dla dodania odwagi. A mają tylko piwo — to ja potem — mówi człowiek niepewnie i zostaje.

Opierasz się o bufet. Tu twoje ocalenie, powiadasz, dziesięciominutowe, między jednym a drugim kuflem. Bo w zasadzie sprawy nie wyglądają gładko, tyle, że jesteś poza zasięgiem uśmieszków rodziców, których nie można już było znieść. Brali twoje tysiąc złotych, przynosiłeś co pierwszego regularnie. Ale brali tak, że chciało się od razu iść. „Cyganku, ty się nie powiesisz". A bufetowa nalewa, sprawna obsługa, za to stuka premia. Zapalasz papierosa, piana siada na piwie. Ostatecznie pomyłka nie jest wykluczona, sprawy mogą wyglądać zupełnie inaczej. Powinno się uwzględnić kartę wcielenia do jednostki, wiek poborowy jakoś ci patrzy z oczu. Dwa lata z twojego życia przy takich planach. Ach, masz zobowiązania. Po przekroczeniu pewnego progu lat wszyscy mamy zobowiązania. Trzeba było raczej wstąpić na studia. Nie wyszło, potrafimy i to zrozumieć.

— Werbus, do kopalni, jo?

— Jo, jo — potwierdzasz niepewnie, akcent zdradza.

— Jooo! — śmieją się przy barze, żeby dzwonią o szkło.

Na przystanku przed dworcem jest tak samo obco. Przez most na lewo przebiegają ludzie z tramwaju do tramwaju. To do kopalni. Nawet nie mają czasu spojrzeć w dół, gdzie dworzec. Twoje kroki będą klekotały podobnie za tydzień, dwa, kiedy dostaniesz robotę i łóżko w domu górnika. Odchodzisz, dobrze zapamiętując drogę. Wrócisz tu na noc. W spółdzielni na rogu pachną bułki, znajomy zapach. — Ostatecznie — myślisz. Ale ekspedientka podniosła głowę. Jesteś inny, dla nich wszystkich co na Śląsku po czterdziestu lat, którzy przyjechali tu zaraz po wojnie, wrośli w te ulice, światła, dymy.

— Zapomniał pan bułki!

Wielka nieostrożność, przecież to obiad, śniadanie, kolacja. Nie możesz na nic liczyć, nie masz tu nikogo.

Więc jednak niezupełnie sam.

— Zapoznamy się?

— Jo.

Widzisz jakie to łatwe, już się nauczyłeś.

— Ty skąd?

Z innego krańca Polski ale to nie szkodzi. Przyjechał już wczoraj, też noc na dworcu. W kopalni Makoszowy będą miejsca. Częściowo gazowa, dlatego że kiedyś był metan, teraz nie ma nic...

— A może by tak halbę?

To pół litra, powinieneś być zadowolony, twój język się wzbogaca. A pokazujesz wymownie kieszenie. Ostatnia forsa. Ale co tam? Kumpel, jutro będzie robota.

2.

Wychodzi na to, że z budki przed wiaduktem jest najbliżej. Można też skakać w biegu, kiedy tramwaj bierze rozpęd na Mikulczyce ale nie warto ryzykować — żwir. W kopalni berga człowieka nie trzaśnie, a na szynach nigdy nic nie wiadomo. Wieczorem wszystkie okna są oświetlone, nawet kiedy w pokojach nie ma nikogo, płaci hotel. W dzień ukazuje się niski murowaniec, dawne koszary. Trochę dalej następny i tak do samych Mikulczyc.

Teraz siedzą w jednym z pokojów na górze. Mówię do nich, że nie będę niczego ukrywał. Przyjechałem załapać się gdzieś, zarobić, odłożyć forsę i wiać. — Aha, rozumiemy — powiedzieli. Jeden wyciągnął się na łóżku w ubraniu. Regulamin zakazuje, ale regulamin sami przecież uchwalili. Drugi wyjął z szafy garść orzechów. — Tylko widzisz — długo manipuluje przy skorupce — tu-

Dalszy ciąg na str. 3

60 rocznica urodzin Władysława Gomułki przekształciła się w ogólnonarodową manifestację serdecznych uczuć dla przywódcy, który swe życie poświęcił dla dobra i szczęścia swego narodu, dla socjalizmu i sprawy pokoju.

ŚWIATA

Bywają dla komentatora dni chude i tłuste. Ostatnie z pewnością trzeba zaliczyć do tłustych. Nagromadziło się bowiem wiele wydarzeń cisnących się pod pióro. Listę ich otwiera wyjazd delegacji rządowej ZSRR z premierem Kosyginem na czele, do Hanoi, a następnie: wypowiedź prez. Johnsona na temat możliwości odwiedzenia w br. Związku Radzieckiego, konferencja prasowa prez. de Gaulle'a oraz inne aktualia w rodzaju: odwołanie wizyty prem. Wilsona na kontynencie amerykańskim i zapowiedzi przyjazdu do Waszyngtonu min. Couve de Mourville, „piekło" w Bonn z powodu zapowiedzianego wyjazdu Waltera Ulbrichta do Zjednoczonej Republiki Arabskiej...

Mimo iż tematów dla publicystów międzynarodowych — jak z powyższego widać — nie brakuje, prymat na łamach prasy światowej ma pobyt w Wietnamie Płn. prem. Kosygina.

Już pierwsza wiadomość na ten temat wywołała falę komentarzy, która nie słabnie do dziś. Powody są zbyt oczywiste, by je powtarzać: Wietnam — obok Konga — jest przecież aktualnym punktem niepokoju w świecie. Nic przeto dziwnego, że wizytę tę zalicza się do „najważniejszej politycznej inicjatywy Kremla od czasu ustąpienia Chruszczowa" („New York Times") i traktuje jako „najważniejsze i najdonioślejsze posunięcie nowego kierownictwa radzieckiego w dziedzinie polityki zagranicznej" („Washington Post").

Skala przypuszczeń jest bardzo szeroka. Na ogół jednak uważa się, że wizyta ta sygnalizuje możliwość porozumienia w sprawie pokojowego uregulowania problemu wietnamskiego. Oczywiście, nie uszło uwagi świata politycznego i to, że droga do Hanoi prowadziła przez Pekin.

Kwestii wietnamskiej poświęciliśmy wiele uwagi w naszych komentarzach i nie raz wypadnie jeszcze do niej powrócić. Z licznych spekulacji odnotujmy więc tylko te, które łączą tę wizytę z wypowiedzią Johnsona na temat możliwości spotkania się z przywódcami radzieckimi jeszcze w bieżącym roku i to dwukrotnie.

Od siebie zaś dodajmy, że z pewnością nieprzypadkowo właśnie w tym czasie Johnson skierował swojego doradcę — Mc George Bundy do Sajgonu. Zaprzeczeniom tej zbieżności dat ze strony polityków USA nikt raczej nie wierzy... Po prostu w Waszyngtonie uruchomiono alarmowy dzwonek.

W pewnym sensie alarmowym dzwonkiem dla polityków USA stała się również kolejna konferencja prasowa prez. de Gaulle'a. Głównie z powodu jego wypowiedzi na temat odpowiedzialności za sprawę Niemiec i propozycji poprawienia sytuacji w ONZ poprzez zwołanie konferencji pięciu wielkich mocarstw (z udziałem Chin Ludowych).

Zanim de Gaulle zakończył tę konferencję już była reakcja Waszyngtonu. Ani bowiem słowa prezydenta: „Problem niemiecki jest par excelence problemem europejskim", ani: „W obecnym stanie rzeczy konieczne jest, aby Waszyngton, Moskwa, Londyn, Pekin i Paryż porozumiały się celem powrócenia do punktu wyjściowego, podobnie jak niegdyś porozumiały się dla założenia Narodów Zjednoczonych" — nie mogły za oceanem wzbudzić zachwytu.

Podobnie zresztą, jak i pierwsza część wypowiedzi na temat międzynarodowego systemu walutowego, w której prezydent zakwestionował przywilej przyznania dolarowi i funtowi szterlingowi równowartości ze złotem, podkreślając, że tylko ono ma realną wartość. Dolary można przecież emitować według własnej woli...

Zarówno w części międzynarodowej, jak i gospodarczej de Gaulle — wydaje się — podkreślił tę samą myśl: dokonały się po wojnie stopniowe, lecz systematyczne przesunięcia na korzyść Europy i naturalnym rozwojem rzeczy nasza samodzielność będzie wzrastać. Nie dowierzamy amerykańskim koncepcjom politycznym, amerykańskiemu systemowi obronnemu, amerykańskiemu dolarowi... Atak — można więc powiedzieć — zmasowany. Czy muszę dodawać, jak zareagowała na to amerykańska prasa?

Niemal równocześnie z konferencją prasową podano do wiadomości, że 17 bm. udaje się z wizytą do Waszyngtonu francuski minister spraw zagranicznych. Komunikatowi na łamach paryskiej prasy towarzyszyły krótkie, ale treściwe komentarze: domniemywanym tematem rozmów będą: reorganizacja NATO, problemy dalekowschodnie, ze szczególnym uwzględnieniem sytuacji w Wietnamie, i... rola Francji w stosunkach między Wschodem i Zachodem. Nic dodać, nic ująć...

By obraz sytuacji był pełniejszy przypomnijmy, że wszystko to dzieje się w chwili, gdy prem. Wielkiej Brytanii — Wilson odroczył swą wizytę na kontynencie amerykańskim. Oficjalnie z powodu — przerwania debaty generalnej w ONZ, praktycznie — dlatego, że nie dyskutując z Bonn na temat atlantyckich sił nuklearnych (planowana na dzień 20 stycznia wizyta w NRF nie doszła do skutku z powodu choroby i śmierci Churchilla) — właściwie nie ma nic do zakomunikowania Johnsonowi.

Obok licznych kłopotów wspólnoatlantyckich ma swoje szczególne kłopoty NRF. Powodów dostarczyła zapowiedziana wizyta Waltera Ulbrichta w Kairze. Jakże to bowiem: czołowa osobistość „nie istniejącej" NRD ma złożyć oficjalną wizytę w kraju, który utrzymuje stosunki z NRF! Co pozostało z doktryny Hallsteina? Gdzie nasza twarz? — To prawdziwe kopnięcie — skarżył się wiceprzewodniczący SPD — Wehner... — To najtrudniejsza sytuacja od chwili powstania NRF — wtórował „Koelnische Rundschau".

Francuski „Combat" pisał zaś na ten temat:

„Czy po wizycie Ulbrichta w Kairze nastąpi oficjalne i formalne uznanie NRD przez Egipt, czy też nie jest ona ciosem... Rzadko kiedy dyplomacja poniosła tak dotkliwą klęskę, jaką poniosło Bonn w sprawie Ulbrichta".

Takie „klęski" — i nie ma na to rady — będą się mnożyć. Są one bowiem następstwem zamykania oczu na aktualną mapę świata...

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

NIEDZIELA, 31 stycznia

● Ministrowie spraw zagranicznych ZSRR, USA, Anglii i Francji przyjęli zaproszenie rządu Austrii do złożenia wizyty w Wiedniu w połowie maja br. z okazji uroczystości X-lecia austriackiego traktatu państwowego. Wiedeńskie koła polityczne przypisują temu nieoficjalnemu spotkaniu ministrów „wielkiej czwórki" poważne znaczenie.

● Zdaniem korespondenta UPI Zjednoczona Republika Arabska dysponuje trzyczłonową rakietą zdolną do umieszczenia sztucznego satelity na orbicie okołoziemskiej. Jeden z tygodników egipskich poinformował, iż ZRA zamierza wystrzelić na orbitę okołoziemską satelitę jeszcze przed siedemdziesiątym rokiem.

● W wyborach uzupełniających do rozszerzonego kierownictwa moskiewskiej organizacji pisarzy wybrani zostali w tajnym głosowaniu m. in. J. Jewtuszenko i A. Woznieseński.

● W okresie 25—29 stycznia toczyły się w Brukseli rozmowy między przedstawicielami Jugosławii, a Komisją EWG na temat rozwoju handlu Jugosławii z krajami szóstki. Według źródeł brukselskich delegacja jugosłowiańska wskazywała w trakcie rozmów na trudności w eksporcie produktów pochodzenia rolniczego do krajów EWG spowodowane barierą ceł ochronnych stosowanych przez kraje wspólnego rynku.

PONIEDZIAŁEK, 1 lutego

● Na ekrany kin moskiewskich wszedł film o współczesnej młodzieży radzieckiej „Mam 20 lat". Film ten wyprodukowany przed dwoma laty spotkał się z ostrą krytyką ówczesnego I sekretarza KC KPZR N. S. Chruszczowa.

● Według oświadczenia złożonego przez chilijskiego senatora Castro Baltazara w czasie jego pobytu w Hawanie prezydent Chile E. Frei gotów jest odegrać rolę pośrednika w dążeniu do unormowania stosunków kubańsko-amerykańskich. Prezydent Frei — stwierdził senator chilijski — uważa, iż Kuba winna stać się ponownie członkiem Organizacji Państw Amerykańskich.

● Tematem wywiadu udzielonego korespondentom prasy NRD-owskiej przez wiceministra spraw zagranicznych CSRS Otto Klicka były sprawy związane z obradami Politycznego Komitetu Doradczego Układu Warszawskiego. Minister stwierdził, iż państwa Układu rozpatrywały przede wszystkim zagadnienie bezpieczeństwa w Europie, po czym dodał, że aczkolwiek komunikat o tym nie mówi, na naradzie omawiano również inne propozycje, o których opinia światowa poinformowana zostanie w odpowiednim czasie.

WTOREK, 2 lutego

● Przewodniczący senackiej Komisji Handlowej USA Warren Magnuson przedłożył projekt powołania Rady do spraw rozszerzania handlu z krajami socjalistycznymi. W skład Rady miałyby wejść osobistości o wysokich kwalifikacjach spośród kół businessu, rolnictwa, świata pracy i ośrodków uniwersyteckich. Zadaniem Rady byłoby przygotowywanie wniosków co do zakresu i metod rozszerzenia wymiany handlowej USA z krajami socjalistycznymi.

● Do Pekinu przybyła delegacja Kubańskiej Zjednoczonej Partii Socjalistycznej z Ernesto Guevara na czele. Na lotnisku gości kubańskich witali sekretarz generalny KC KPCh Teng Hsiao-ping w otoczeniu wysokich osobistości partii i rządu ChRL.

● Podczas konferencji prasowej w Pradze z udziałem sekretarza RWPG N. W. Fadiejewa, korespondent dziennika „Unita" zapytał dlaczego przedstawiciele ChRL nie uczestniczyli w obradach ostatniej sesji RWPG. W odpowiedzi sekretarz RWPG stwierdził, iż przedstawiciele ChRL zostali zaproszeni do udziału w sesji.

● W Departamencie Stanu USA twierdzi się ironicznie, że każdy zamach stanu w Sajgonie przedłuża o 3 miesiące pobyt Maxwella Taylora na stanowisku ambasadora USA w Wietnamie Południowym.

ŚRODA, 3 lutego

● W „Izwiestia" ukazał się artykuł, biorący w obronę prywatnych posiadaczy samochodów narażonych na podejrzliwy i niechętny stosunek otoczenia oraz różnorakie utrudnienia, jak niezadowalający stan obsługi technicznej, niedostateczną ilość parkingów itp. Najwyższy czas zmienić stosunek do prywatnej motoryzacji — stwierdza „Izwiestia" — bowiem „pożądanie samochodu jest tak samo nie do przezwyciężenia, jak techniczny postęp ludzkości"

● Według wstępnych obliczeń produkcja przemysłowa Jugosławii była w 1964 roku o 16 proc. większa w porównaniu z rokiem 1963. Zdaniem ekspertów jugosłowiańskich najważniejszym bodźcem wzrostu produkcji przemysłowej w ubiegłym roku był 12 proc. wzrost spożycia indywidualnego.

● W artykule szefa sztabu radzieckich sił zbrojnych marszałka M. Zacharowa, poświęconym sytuacji w dziedzinie nauki wojskowej, poddano krytyce pewne prace z zakresu historii wojskowości. Marszałek pisze, iż przy ocenie tych czy innych operacji w drugiej wojnie światowej poszczególni historycy kierują się niekiedy tym, jakie stanowiska zajmują obecnie osoby, które niegdyś kierowały tymi operacjami. „Im wyższe jest to stanowisko, tym bardziej należy „wyróżnić" tę operację, „wzmocnić" jej znaczenie". Autorzy hołdujący takim zasadom — stwierdza radziecki szef sztabu, zajmują stanowisko naukowych pochlebców.

CZWARTEK, 4 lutego

● Prezydent Johnson o perspektywach spotkania z przywódcami ZSRR: „Mam podstawy do przypuszczenia, że kierownictwo radzieckie powitałoby z zadowoleniem złożenie przeze mnie wizyty w Związku Radzieckim, co ja chętnie bym uczynił. Liczę na to, że zanim upłynie rok, dojdzie do tej wymiany wizyt między nami".

● Organ Włoskiej Partii Komunistycznej „Rinascita" publikuje artykuł zatytułowany „Bilans trzech miesięcy: żadnego „powrotu w przeszłość". Artykuł poświęcony jest sytuacji ZSRR po ustąpieniu Chruszczowa. Jeśli można powiedzieć, że coś zmieniło się w radzieckim życiu politycznym w ciągu ostatnich miesięcy — czytamy w artykule — to chodzi przede wszystkim o ton. Lansuje się styl pracy bardziej praktyczny, bardziej skuteczny — mniej słów a więcej czynów. Zalety, które nowe kierownictwo wydaje się najwyżej cenić, to rozwaga i ostrożność. Nowym mottem, dewizą obecnego kierownictwa — stwierdza „Rinascita" — jest tak zwany „naucznyj podchod", co oznacza naukowe podejście do wszystkich rozstrzyganych zagadnień.

PIĄTEK, 5 lutego

● Szef zaopatrzenia armii indonezyjskiej generał Hartano poinformował, że w Indonezji pracuje obecnie około 200 naukowców nad konstrukcją bomby atomowej. Według zapowiedzi generała Hartano indonezyjska bomba atomowa będzie gotowa do eksploatacji w październiku br.

● Prezydium Rady Najwyższej ZSRR nadało pośmiertnie order Wojny Narodowej I klasy obywatelowi jugosłowiańskiemu Branko Wukeliczowi. Był on jednym z najbliższych współpracowników słynnego asa wywiadu radzieckiego Ryszarda Sorge. Wukelicz zmarł w styczniu 1945 r. w więzieniu japońskim.

SOBOTA, 6 lutego

● Wydarzeniem politycznym, o którym długo będzie się mówić, nazwali komentatorzy zachodni konferencję prasową prezydenta de Gaulle'a. Zasadnicze tezy czwartkowej deklaracji prezydenta Francji dotyczyły:

— reformy międzynarodowego systemu monetarnego w celu przywrócenia klasycznej waluty złotej;

— reorganizacji ONZ w duchu zasad Karty z San Francisco. Prezydent de Gaulle zaproponował w tym celu zwołanie konferencji pięciu wielkich mocarstw: ZSRR, USA, ChRL, Francji, Anglii;

— problemu niemieckiego, który „nie może być rozwiązany inaczej aniżeli przez samą Europę".

Pierwsze komentarze o reakcjach stolic zachodnich:

AFP: „Wyspecjalizowane koła administracji amerykańskiej przejawiają zdziwienie z powodu gwałtowności ataku francuskiego".

UPI: „Żaden z wielkich problemów poruszonych przez de Gaulle'a nie wywołał entuzjazmu w miarodajnych kołach brytyjskich".

„Neue Rhein Ruhr Zeitung":

„Wypowiedzi de Gaulle'a na temat granic i uzbrojenia przyszłych Niemiec nawołują Bonn do realizmu".

WERBUSY

Dalszy ciąg ze str. 1

Taj jest teraz taka sprawa, nie biorą bez siedmiu klas.

— To — mówię — wszystko w porządku. Robić, to nigdy jeszcze nie robiłem, ani w kopalni, ani tak w ogóle, siedziałem u ojca, dał mi na te papierosy, paliłem, nie...

— Znaczy za werbusa chcesz?

— Jo — mówię — na to zerwałem się z domu.

Rozgadali się. Dniówkę państwową, pięć dych, mogę zarobić, jak tylko zjadę pod ziemię, na guziku. Przycisnę, poleci taśmociąg, wyłączę, stanie. Z góry idą sygnały do dyspozytora. Tego się można nauczyć jak w wojsku, słoma, siano, sygnał. Pięć dych na tym knyfiku, raz na jakiś czas trzeba się wziąć do łopaty, jak kęsy spadną z taśmy. Ładowaczem, ślepremu znaczy się, można być od zaraz. Dostaje się strzałowego, hajera, najlepiej jak to będzie stary górnik, nawet Ślązak, hanys. W kopalni to nie ma tego, co na ziemi, niemają cię za obcego, kiedy robisz. Bo na ziemi trudniej jest żyć, jak to na ziemi.

— Będziesz werbus. Przeżyjesz tu z pięć lat, będziesz werbus. Pójdziesz i żadna nie będzie chciała z tobą tańczyć. Owszem, taka na raz. Ale dziewczyna, taka co może być żoną, jest w cenie. Tu kobieta przygotowana jest w każdej chwili przejąć wysiłek mężczyzny, wypadki w kopalni się zdarzają. Ale kobieta chce mieć męża, który jest stateczny. A werbus to jest kto? Cygan, który dziś tutaj, jutro tam. Więc trzeba szukać, próbować. Jeśli trafisz na repatriantkę, to twoje szczęście, będziesz się jej trzymał zębami, może tu nawet zostaniesz na stałe. Ale dla hanysów będziesz zawsze werbus, przypomną ci w knajpie, przypomną na zabawie, że jesteś intruz, który nie zagrzeje miejsca, tylko zarobić i wiać. Aż uciekniesz naprawdę, bo to cię w końcu zmęczy, te wieczne powroty do pustego pokoju, gdzie nie ma do kogo zagadać, te obłudne liściki z domu z zapytaniem o zdrowie. Tyle, że forsa. Dostanie się dobrego hajera i na ścianie albo na filarze można wyciągnąć ze trzy tysiące, albo cztery, jest taka jedna brygada, tam i po sześć zarabiają. Jaki masz urobek, tyle dostaniesz. Mieszkanie w hotelu jest prawie darmo, obiad 8 zł. Można odkładać. Dwa lata, trzy i ucieka się. I tak już zostało. Werbusy, to niby my i hanysy, oni, starzy.

A na co dzień, wiesz jak to jest Wstaje się o czwartej, portier wali w drzwi. Nawet jak już jesteś na kopalni, trzeba czekać pół godziny, zanim się zjedzie na dół. Robota zależy od sztygara, umiesz z nim żyć, zarobisz, nie umiesz, nie zarobisz. Potem, kiedy wyjeżdża się na górę, do łaźni, przez pół godziny smarkasz, a z nosa czarne kluchy. W innych kopalniach posyłają ludzi na kwarcówki, u nas nie dbają. A zimą człowiek zjeżdża i wyjeżdża, kiedy słońca już nie ma.

Przyszli inni współmieszkańcy i wtedy werbus wyciągnięty na łóżku powiedział: — A do kopalni zjedziesz, nie bój, przepustkę pożyczymy. W tymczasowej nie ma zdjęcia, można ryzykować. Hak dostaniesz od takiego jednego, robi tu już trzy lata, żona nauczycielka została w Bydgoszczy. Lampy i pochłaniacz też się skombinuje. Szychta, rozumiesz, zaczyna się o jedenastej, o wpół jest zjazd. Pojedziemy na 300 m, potem w górę na 230. Na cała noc. A nie będziesz się bał na lewych papierach?

3.

Przypomina rzeźnię, tyle haków i łańcuchów. Jesteś już „na kopalni", właściwie nad. Pomruk szybu odległy. Podnosisz głowę — — żelazo. Zapach potu zamiast krwi. Jedno poruszenie ręką, rozwarcie małej kłódeczki. Uwalnia ubranie. Spada spod sufitu, cofasz się niepotrzebnie, łańcuch trzyma mocno. Za plecami drzwi, które prowadzą na rozmiękłą drogę.

Ci, którzy dopiero wyjechali spod ziemi, palą papierosy. Twarze poczerniałe. Otwierasz kłódkę. „Twój hak". Tak tutaj mówią: „mój hak". I właśnie w tym momencie, kiedy rozebrany do naga wyciągasz rękę po kombinezon, wraca to samo co na dworcu — poczucie osamotnienia. Za dużo żelaza.

I jeszcze coś nieuświadomionego wzbiera. Dotykasz głowy — pot. Przecież się boisz. Normy bhp, dotąd obce i dziwne, nieuzmysłowione, układają się nagle w bliskie, konkretne obrazy. Z dołu można nie wrócić. A tamci wracają. Przypatrz się temu staremu, trzydzieści pięć lat przerobił pod ziemią. Przyglądasz się staremu. I zaraz ruszasz schodami, na górę, za innymi. Potem spadniesz do tym większej głębi. W hallu, przed szybem rozmawiają, ćmią cygarety, spluwają. Wysoko pod sufitem. Barbara przybrana kwiatami. Po zaciemnionym hallu i schodach światło na markowni jest propozycją czegoś nowego. Numerek na blaszce, który dzieli się przez cztery a może przez siedem, suchy protokół twego istnienia, w razie czego. Jeszcze pochłaniacz, dwadzieścia minut życia, w razie czego.

A potem zapominasz, czekając na lampę. Chce się palić, a papierosy zostały na haku, w marynarce, nie wolno zabierać pod ziemię. A inni palą. Tyle godzin pod ziemią bez cygaretów. Tłumaczysz, zostawiłeś w marynarce. Dał, ale się uśmiecha. Poznał nowicjusza. Pomruk już niedaleki i od czasu do czasu dzwonek.

— Winda? — pytasz.

— Szola — śmieje się, mruży oczy. I sam rzuca: — Ty na kopalni dawno?

Nie czeka na odpowiedź, przydepnął niedopałek i już widać wyraźnie klatkę, poczerniałe deski, żelazo. Wchodzą do pierwszego piętra windy, to tasza. Cztery piętra, siatka spada. Dzwonek tak gwałtowny, że nawet nie można się bronić. Pulsowanie powietrza w ustach. Najpierw światło, zaraz potem dzwonek. Gdzieś niedaleko gadają ludzie. Twarz sygnałowego. Krok i zatrzymanie na skraju szoli. Szare sklepienie. Gdzieś niedaleko, z hukiem przelatują wagoniki. Zaraz za zakrętem ukazuje się wąziutki tor, kilka świateł, dalej już ciemność. Ziemia nad głową.

Na lewo tama izolacyjna, w świetle latarki biała, spękana ściana, parę metrów bliżej na słupie, wilgotna tablica: dzień, godzina — kredą. Sprawdzają codziennie. — Zgaś — mówi. Syczy powietrze pompowane z góry, jeśli się dobrze wsłuchać, można rozpoznać warkot taśmociągu. Tylko, że głosy są zniekształcone przez ciemność, zwielokrotnione i jedyne. Więc trzeba mówić, chce się cholernie palić, to i palimy od razu. — Bo jest taka sprawa — zaczynam, ale przerywam, odgadł myśl.

Odciął się od wszystkiego, co dotąd przeszkadzało żyć: litość, pogardliwe uśmieszki, przede wszystkim pogardliwe uśmieszki. Nie kończy i żeby odwrócić uwagę dodaje ostrożnie: — nie opuszczaj tak nisko głowy, może być gaz.

W ciemności wyczuł wzruszenie ramionami. Jest tak, że oni, którzy pracują pod ziemią miesiące i lata i my, przychodzący po raz pierwszy na frajer, bez wyobrażenia, czujemy się jednakowo bezpiecznie. Za nimi jest przyzwyczajenie, za nami brak doświadczenia. Tyle, że nie można niczego lekceważyć, 90 proc. wypadków jest z lekkomyślności. Kalectwo, śmierć. Gaz jest wredny. Schylisz się i cześć. Kilka lat temu przyjechał facet z Olsztyna, no i zwyczajnie po ludzku, jak wtedy kiedy zaczyna rozpierać... Oczywiście pod ziemią nie wolno. Jak sztygar złapie, to kara. Ale palić też nie wolno, a palimy. Potem poszedł po niego drugi, to trwało strasznie długo — tamten leżał zaraz za zakrętem, lampka była zgaszona. Drugi to był silny chłop, chciał tamtego na ręce, jak dziecko, schylił się i zaraz opadł na kolana. I tak ich znaleźli. Bo nie wolno opuszczać głowy. Gaz się nazywa matówa, bo jak co to oczy zaraz zachodzą mgłą, robią się matowe. Ale on czuje się tutaj dobrze, bo zna wartość samego siebie. A to się liczy.

Tutaj można bezpiecznie uciec od tego, co tam przeszkadza żyć. Zastąpienie tego co było, na ścisk w szoli załadowanej ludźmi, albo mroźny cug przy szybie, albo... ostrożnie, zasłaniając światło ręką, przypala papierosa. Dla hanysów praca tu, to nawet nie wybór, to jest nawyk jak dla górala góry. Dla niego azyl to telewizor albo motocykl, dom i dzieci i może jeszcze pół litra i może jeszcze zdjęcie w gazecie. Dla werbusów azylem jest sama kopalnia, bez domu, może jeszcze forsa wchodzi w grę, trochę przygoda. — Polska na nas patrzy — pomniejsza znaczenie słów. — Patrzy albo i nie — poważnieje. Na niego już nie, pójdzie na taki kurs, po maturze biorą chętnie i w rok można być sztygarem, technikiem, ale to praktycznie to samo. Bo normalnie trzeba pięciu lat — dokładnie, systematycznie zadusił papierosa.

Więc na Śląsku chyba zostanie, na zawsze zostanie.

4.

Nie — mówi — teraz nie robię, dopiero od szóstej mam odwach. A tę noc mogę zarwać dla niego (pokazuje na mnie). To jest brat, Jorik, fajny kumpel i chce zobaczyć kopalnię.

Jorik patrzy na mnie przyjaźnie, ale nie chce puścić tam, gdzie filar gwałtownie schodzi w dół i można wybierać węgiel tylko na kuckach, a czasem leżąc na plecach. Wymownie pokazuje poszarpane włókna drewnianych stropów. — Ciśnie, od ziemi tak ciśnie.

Chyba, nie będą więcej fedrować, zasypia chodnik. Z waskiej, czarnej jamy, wyciągają teraz narzędzia, łańcuchy, jakieś rury. — Pomóż — mówi Jorik. Targamy w czwórkę te cholerne rury, te lutnie, do pompowania powietrza. Potem długo leżymy na taśmociągu. Jorik wyciąga papierosy, nasze się skończyły, gadamy i wiem już teraz dobrze, że to hanys, ich się poznaje po akcencie. Wraca od razu wszystko, czego nie mówiliśmy przy tamie, a co trzeba zmieścić w ramach azylu. Więc na początku ucieczka ze środowiska, z jakiegoś małego miasteczka, od jakiejś nudnej roboty. Od kompleksu własnej bezwartościowości, po to, by się sprawdzić pod ziemią, gdzie można od razu stanąć na własnych nogach bez potrzeby zawdzięczania czegokolwiek innym. Kat do spania, forsy nadspodziewanie dużo, z którą nie ma co robić która się ciuła, co wchodzi w krew, od czasu do czasu list.

Podnoszę głowę, tam ciągle targają lutnie. Odkręcam manierkę i daję pić kumplowi. Jorik też chce pić i podaje mu kawę. Tyle, że człowiek nie zawsze jest zdolny ponosić odpowiedzialność w ramach tego doświadczenia, które zdobył w miasteczku. Kumpel ma dwadzieścia lat.

— Ty Jorik stary?

Fot. W. Parys

Dwadzieścia siedem, żona, dzieci. Czy chce zobaczyć zdjęcia? Odruchowy ruch ręką w kieszeni, ale zapomniał portfela. Jemy jabłka. Pytam: Jorik, a na Śląsku dawno? Urodzony. A w kopalni? Śmieje się. Pokazuję na kumpla. — A on?

— Dawno, my razem gasili ogień — mówi Jorik — twój był odwach, jo?

W ramach azylu przychodzą jak intruzi. Przynoszą swoje zwyczaje, próbują się urządzić, ciułają, walą się po mordzie, chodzą do fryzjera. Chodzą do pracy, albo ją opuszczają. Nie jestem pewny.

— Jak u was z robotą? — mówię.

— Robiłeś — mówią.

— Nie to, bumelki.

Trzeba uważać, to też w ramach azylu. W razie bumelki przepada premia półroczna i roczna, trzynasta pensja, dzień urlopu dodatkowego raz w miesiącu za rozłąkę. Kosztują bumelki.

Kosztorys azylu jest skomplikowany.

I nagle wychodzi sprawa, której mimo wszystko nie potrafię ukazać dostatecznie wyraźnie — osamotnienie. Wychodzi zarazem źródło niechęci hanysów. Tymczasowość sytuacji. Tamci lubią rzetelność. Ale mają rodziny na miejscu, motocykl, telewizor. A werbusów to nie dotyczy. Oni mają albo wszystko za sobą, albo dopiero w przyszłości. Na teraz mają piętno kopalni. Zneutralizowani na niebezpieczeństwo wyjeżdżają na ziemię ze swoim buntem, lekceważeniem wszystkiego, co bezpośrednio nie grozi śmiercią z poszukiwaniem nowych sensów i nowych perspektyw. Ale ich normy postępowania kłóca się ze starymi, rzetelnymi, usankcjonowanymi tradycją, zastanymi na miejscu. To jest źródło niechęci.

Ścieranie się norm zastanych i importowanych z głębi Polski jest przyczyną wytwarzania się nowych. To są właśnie te zasady postępowania obowiązujące wśród werbusów tak trudne do zrozumienia dla hanysów i dla dziennikarza, który je rejestruje jeszcze w procesie krystalizowania, jeszcze nie w pełni wykształcone. Umownie nazwane tu zjawisko „azyl", jest symptomatyczne dla przemian zachodzących w kraju. Ten uboczny produkt migracji ludnościowych sygnalizuje drugą stronę zjawiska — romantyzm w nowym wydaniu. Już nie karabela, już nawet nie preria i Dziki Zachód, ale praca, często bez uświadamiania sobie, jakie ona przynosi ekonomiczne korzyści, a przecież piąta część wydobytego węgla jest wynikiem pracy ludzi przybywających na Śląsk okresowo, udziałem werbusów. To nie poszukiwanie chleba ale właśnie przygoda, właśnie romantyzm w nowym wydaniu jest motorem napędzającym tego zjawiska, tak tu na Śląsku jak na wielkich budowach w Turoszowie, Tarnobrzegu, Płocku i Puławach.

Zjawisko to kryje w sobie oczywiście pewne niebezpieczeństwo. Żywiołowe tworzenie się norm naraża nas zawsze na nieobliczalne skutki moralne. A zbyt mało zwraca się na to uwagi i w wielu wypadkach chłopcy zamieszkujący hotele robotnicze są pozostawieni sami sobie. Nominalnie i statystycznie mają dostęp do bibliotek, do rozrywek, uatrakcyjnionych niekoniecznie alkoholem. Kursy samochodowe, nauka tańca, czasem jakieś odczyty, czasem film albo zabawa. Ale w gruncie rzeczy działalność kulturalno - rozrywkowa ma charakter okazionalny, zależy od takiego czy innego przypadku, od chęci tego lub owego. „Azyl" sygnalizuje, że punkt ciężkości stawiany jest przez zakłady pracy nie na wychowaniu a na produkcji. Brygady pracy pod firmą ZMS nastawione są również na działalność ekonomiczną, a nie wychowawczą. Brak jest sił, które by przeciwdziałały konfliktom. Dlatego w pracy — „azyl", po pracy — „werbusy". Dlatego na Śląsku werbusy, a gdzie indziej po prostu obcy, poszukujący nowych sensów, brukujący szlaki dla przyszłych.

KONRAD FREJDLICH

WIESŁAW WRZESIŃSKI

W POLSCE ŚRODKOWEJ BRAK MIEJSCA NA STEPY

Rejon północny woj. łódzkiego, obejmujący powiaty: kutnowski, łęczycki i część łowickiego — to zasadniczy, — naturalny spichlerz tej części kraju. Żyzna gleba, stosunkowo wysoka kultura rolna, w połączeniu z intensywnym gospodarowaniem powoduja, że ziemie te dostarczają głównej, towarowej masy produktów pochodzenia rolniczego.

Należy się spodziewać, że w miarę wzrostu środków przeznaczanych przez państwo dla rolnictwa, w miarę zwiększania się nakładów inwestycyjnych, zaopatrzenia w sprzęt, maszyny i nawozy mineralne — efekty gospodarcze, uzyskiwane w rejonie północnym, wykażą dalszą, znaczną progresję. Aby jednak tak mogło się stać — należy tu spełnić jeden zasadniczy warunek: **przywrócić równowagę w przyrodzie tego obszaru.**

Działalność ludzka, trwająca przecież od wielu stuleci, równowagę tę mocno bowiem zachwiała. Drobny rolnik gonił za każdym kawałkiem urodzajnej ziemi, pozwalającym mu wyżyć wraz z rodziną. Właściciele wielkich majątków, dążąc do osiągnięcia maksymalnych dochodów, powiększali powierzchnię swych pól uprawnych kosztem... lasów. Waliły się drzewa, wycinano całe bory. Dziś jest to obszar o wytrzebionym drzewostanie, znany z szarego i monotonnego, tchnącego smętkiem krajobrazu. Stopień lesistości waha się tu w granicach od kilku — do kilkunastu procent, przy czym w Kutnowskiem wynosi on zaledwie 4,7 proc.

Nie chodzi jednak o krajobraz. Ładne widoki, to — owszem — rzecz przyjemna, ale ostatecznie można by się pogodzić z ich brakiem. Chodzi tu o sprawy znacznie ważniejsze, o daleko sięgające konsekwencje gospodarcze.

Brak naturalnej szaty leśnej spowodował wytworzenie się w rejonie północnym specyficznego klimatu, mającego wiele cech typowych dla **klimatu kontynentalnego.** Cały ten teren przedmuchują we wszystkich kierunkach wiatry, szybkością dorównujące wiatrom hulającym po stepach Ukrainy lub Azji. Ilość opadów jest tu minimalna, jedna z najmniejszych w kraju. Przeciętnie w ciągu roku wynosi ona zaledwie od 450 do 500 mm. W wielu miejscach pokazuje się roślinność stepowa.

Wszystkie te zjawiska składają się na proces, który w języku specjalistów nazywa się procesem stepowienia. Rolnik odczuwa go szczególnie w postaci susz, wypalających mu w ciągu lata plony, oraz długich okresów ostrego mrozu, przy cienkiej powłoce śniegu.

Proces ten musi być zahamowany. Nie można bowiem pozwolić na to, aby urodzajne ziemie tu, w środku Polski, zmieniały się stopniowo w suche i „przewiewne", azjatyckie stepy. Trzeba zwiększyć drzewostan, zalesić, zadrzewić i zakrzewić rejon północny, przemyślaną i planową działalnością przywrócić równowagę w przyrodzie, zachwianą ongi przez człowieka.

Zadrzewienie rejonu północnego — to zadanie trudne i złożone. Konkretne działania w tym kierunku wymagają znajomości wszystkich elementów towarzyszących, a przede wszystkim dużej, fachowej wiedzy geograficzno-przyrodniczej. Słowem, problem należy rozwiązać w sposób naukowy. Prezydium Woj. RN, inspirowane przez Egzekutywę KW PZPR, podjęło w marcu 1962 r. uchwałę o zadrzewianiu. Zastanawiano się wówczas, do kogo się zwrócić o wykonanie ekspertyz, o przygotowanie naukowej strony tego zagadnienia, stanowiącej punkt wyjścia do praktycznego już działania. Okazało się, że łódzki ośrodek uniwersytecki posiada katedrę, która może się podjąć wykonania tego rodzaju badań. Jest to katedra Geografii Ekonomicznej Wydziału Ekonomicznego UŁ, kierowana przez doc. dr Tadeusza Olszewskiego.

Pierwsze studia w tej dziedzinie doc. Olszewski zaczął w 1957 r. w chińskiej prowincji Kiangsu. Chłop chiński zawsze odczuwał ostry głód ziemi. Gospodarując na maleńkim poletku — od wieków toczył walkę o utrzymanie się przy życiu, za pomocą prymitywnych środków usiłując „wyciągnąć" ze swego siedmiu gruntu wszystko, co było możliwe. Doc. Olszewski obserwował tę, trwającą do dziś walkę o byt — w jej naturalnej, nieskażonej techniką postaci, w warunkach, kiedy rolnik jest absolutnie uzależniony od przyrody i musi umieć się przystosować do jej kaprysów. Z obserwacji tych oraz z badań nad miejscowym agroklimatem wynikał zasadniczy wniosek, że czynnikiem decydującym tam o zbiorach **jest ilość wody opadowej.**

W warunkach nowoczesnej gospodarki rolnej, a więc zmechanizowanej dysponującej nawozami mineralnymi, znaczenie tego czynnika nieco maleje, niemniej jednak — jest on zawsze współdecydujący wśród elementów agroklimatu.

Podejmując badania nad rejonem północnym woj. łódzkiego, pracownicy katedry zajęli się przede wszystkim bilansem wodnym tego obszaru. Posłużono się metodą opracowaną przez amerykańskiego uczonego — **Thornhwaite'a.** Polega ona na pomiarach parowania z powierzchni otwartej plus parowanie z roślin. Uzyskany wynik wskazał na deficyt opadów w rejonie północnym, wynoszący od 20 do 35 proc. w stosunku do zapotrzebowania przez rośliny. A przecież na obszarze tym rozwija się także gospodarka przemysłowa i komunalna, która ten deficyt jeszcze pogłębia. Równocześnie zaś intensyfikowane jest rolnictwo, co praktycznie oznacza dalsze zwiększenie zużycia wody.

Zagęszczenie lesistości w granicach możliwych do przyjęcia mogłoby zwiększyć roczną sumę opadów na tym terenie o ca 20 proc., a więc — zlikwidowałoby niemal istniejące tu ujemne saldo. Szereg czynników wskazuje, że najbardziej właściwą formą wprowadzanego tu drzewostanu będą **pasy leśne, o funkcjach wiatrochronnych i wodochłonnych.** Chodzi o to, iż po pierwsze: w rejonie północnym nie można sobie pozwolić na sadzenie dużych zwartych kompleksów lasów. Zbyt intensywna jest tu gospodarka rolna, zbyt dobra gleba, aby z niej rezygnować. Po drugie zaś, jak wynika z badań, rozrzucone po całym obszarze, stosunkowo waskie pasy leśne mają szerszy zasięg oddziaływania, obejmując nim większą powierzchnię gruntów.

Zasadniczym warunkiem prawidłowego działania tych pasów jest ustalenie właściwych kierunków ich zakładania. Doc. Olszewski doszedł do wniosku, że wbrew powszechnemu mniemaniu, główne pasy wiatrochronne winny rosnąć na kierunkach południkowych — a nie równoleżnikowych. Będą one miały za zadanie osłaniać teren przed najczęstszymi i najsilniejszymi wiatrami z zachodu i wschodu. Dla pasów „równoleżnikowych" przeznacza się funkcję uzupełniającą — ochrony przed przymrozkami, szczególnie groźnymi na wiosnę, w momencie „ruszania" wegetacji roślinnej.

Poza tym — przy ustalaniu kierunków przebiegu pasów, należy brać pod uwagę istniejącą sieć osadniczą, drogową, występujące już tu lasy, jakość gleb oraz mikroformy terenowe (pagórki, wzgórza itp.).

Jest to olbrzymia praca, wymagająca wiele wysiłków, żmudnych badań i... czasu. Pracę tę katedra w zasadzie już wykonała. Opracowano 8 map, odpowiadających ogólnie na wszystkie zasadnicze pytania, jakie postawi sobie w przyszłości leśnik, przystępujący do zadrzewienia północnego rejonu naszego województwa. Mapy te stanowią graficzną kwintesencję 3-letniego prawie wysiłku doc. Olszewskiego i jego asystentów.

Niezależnie od tego — opracowano obszerne studium tekstowe, komentujące powyższe mapy, a zarazem dające pierwsze elementy do przeprowadzenia rachunku ekonomicznego — opłacalność tego systemu. W ten sposób — wstępna faza dokumentacji została zakończona.

Stanowi ona wyjście do opracowań bardziej szczegółowych tu w pracowni, na bardzo dokładnych mapach, na których zaproponowane będą i zaznaczone już konkretne przebiegi pasów i kompleksów zalesieniowych, skonfrontowane ze stanem w terenie. Wtedy dopiero prace te będzie mogła „wziąć w ręce" służba leśna i ustalić odpowiednie gatunki drzew i krzewów. Potem pozostanie tylko wykonanie praktyczne.

Całe to zamierzenie ma jeden zasadniczy mankament, jest to perspektywa jeszcze kilku przynajmniej lat. Trzeba stwierdzić, że moment bardzo hamujący tempo prac stanowi niezwykle szczupła obsada personalna katedry i ciasnota jej pomieszczeń. Doc. Olszewski ma do pomocy zaledwie trzy osoby: starszego asystenta — mgr Stanisławę Barszcz-Chudy, asyst. — mgr Witolda Dylika i asyst. technicznego — Teresę Wojtysiak. Ściśle również współpracuje były st. asystent — mgr Wacław Musiał. Zespół ten prowadzi powyższe badania w ramach godzin pozadydaktycznych, obok zasadniczej działalności katedry. Do tego — ciasnota lokalu powoduje, iż nie ma się gdzie po prostu pomieścić z materiałem graficznym. Poszczególne mapy klejono np. na podłodze.

Potrzeby rejonu północnego są wielkie i pilne. Gospodarze pow. kutnowskiego np., nie mogąc się doczekać opracowań naukowych, podjęli pewne praktyczne kroki wstępne „na własną rękę". Nie jest to jednak rozwiązanie w skali całego problemu, a przy tym można popełnić szereg błędów. Z drugiej zaś strony — konieczność przystąpienia do zadrzewień staje się coraz bardziej paląca.

Może więc znajdzie się ja kiś sposób, aby pomóc zespołowi doc. Olszewskiego, a tym samym przyspieszyć jego pracę i sprowadzić ją do stanu praktycznej używalności.

I jeszcze jedna sprawa. Analogiczne prace winny być wykonane dla obszarów w podobnym lub może nawet większym stopniu zagrożonych stepowieniem, a wchodzących w skład województw: poznańskiego, bydgoskiego, i warszawskiego. Wydaje się, że w związku z tym — potrzeba powołania do życia wyspecjalizowanej placówki badawczej, która poświęci się tej problematyce — jest oczywista i bezsporna.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Magister bez zawodu

Śledząc z dużym zainteresowaniem dyskusję na łamach „Kultury" pod wiele znaczącym kryptonimem „Nasze uniwersytety", postanowiłem, jako świeżo upieczony absolwent łódzkiej polonistyki zabrać głos i podzielić się swoimi „zgorzkniałymi" uwagami. Dyskutanci z pozycji wysokich stopni naukowych socjologizując, generalizując, pedagogizując itd., itd. nie zwrócili uwagi na problem, który wydaje mi się niebagatelny swoją, rzekłbym, okrutną wymową.

Student polonistyki staje się dyplomowanym inteligentem bez zawodu, chyba, że z zawodem życiowym.

Ale oddajmy głos faktom.

Absolwentka zgłasza się do Rady Narodowej małego powiatowego miasta nad morzem, szukając pracy (byle nie w szkole).

— Zawód? — pytają delikwentkę.

— Ukończyłam filologię polską.

— Dobrze, ale co pani umie? — w głosie urzędniczki wyczuwa się zniecierpliwienie.

Przykład innego rodzaju:

Magister filologii polskiej składa zeznanie, jako świadek:

— Zawód wyuczony?

— Polonistka.

— To co pani robi w CTB, filmy pani kręci? — dowcipnie pyta oficer śledczy.

— A teraz napiszemy urzędnik, to będzie poważniej — dodaje figlarnie.

Przeprowadziłem małą ankietkę wśród kolegów absolwentów wydziału filologii polskiej, okazało się, że pracują w różnych instytucjach podległych Ministerstwu Handlu Zagranicznego na stanowiskach, oczywiście, mało mających wspólnego z odbytym kierunkiem studiów, w organach Milicji Obywatelskiej, w szkole, w Zarządach Kin, Urzędzie Kontroli Prasy, w CWF-je, w wytwórniach filmowych, w prasie, teatrze, w Wydziałach Kultury RN, bibliotekach itp. — i dopiero w ten sposób magister filologii polskiej zdobywa zawód, staje się urzędnikiem, nauczycielem, oficerem śledczym, bibliotekarzem itp., itd.

Kiedy absolwent opuszcza mury laboratoriów Politechniki, Akademii Medycznej czy Uniwersytetu (mowa tu o kierunkach matematyczno-przyrodniczych) jest samookreślony, zna swoje miejsce w życiu, wie, że jest lekarzem, inżynierem, matematykiem itp. Podobnie kontrahenci przyszłego specjalisty wiedzą, co on przeciętnie umie i czego można od niego wymagać na danym stanowisku, w określonym zakładzie pracy. Nikt go kompromitująco nie zapyta „co właściwie pan(i) umie?" Polonista na takie pytanie może odpowiedzieć żartobliwie: „wiem, gdzie się stawia znaki przestankowe", albo bardziej filozoficznie „wiem, że nic nie wiem", może ta pokora w stosunku do wiedzy skruszy mur niedowierzania i obojętności.

Nie ma, niestety, recepty, która by uzdrowiła natychmiast chory organizm, ale właściwie postawiona diagnoza i w porę zaaplikowane lekarstwo mogą radykalnie pomóc. W naszym przypadku pacjent wykazuje symptomy groźnej choroby, która zwie się „wszystkoizm". Tak, student polonistyki jest omnibusem i to omnibusem żarłocznym, przyjmującym wszystkie niemalże dziedziny wiedzy, nie mogąc się w rezultacie żadną z nich uraczyć. Historię Polski „studiuje" aż trzy semestry (dwie godziny tygodniowo), pedagogikę już tylko dwa (dwie godz. tyg.), metodykę również dwa semestry (2 godz.), socjologię jeden semestr, ekonomię — 2 i filozofię — 2 semestry (wszystkie po dwie godziny tygodniowo), stanowią one grupę nauk pomocniczych, ale w gruncie rzeczy nie dają żadnego pojęcia o ich sensie i przydatności w tym konkretnym przypadku, mimo iż później już na piątym roku student cierpi z powodu zbyt powierzchownego potraktowania tych przedmiotów.

Ośrodek Badania Opinii Publicznej przy Polskim Radio opublikował wyniki ankiety ogłoszonej dla celów badawczych, określających stosunek do różnego rodzaju zawodów. Hierarchizacja wskazywała na konserwatyzm społeczeństwa, na pierwszym planie stał inżynier, lekarz... ale nie o to przecież teraz chodzi, nigdzie nie było zawodu, który określałby polonistę.

Postulaty nawołujące do skrócenia studiów na wydziale filologii polskiej z pięciu na cztery lata są ze wszech miar godne uwagi, ale czy to jest właściwe wyjście z sytuacji? — o nie! Program można zamknąć w czteroletnim kompleksie, lecz wtedy piąty rok należy poświęcić na faktyczną specjalizację. Wszystkie niemal kierunki studiów mają ten przywilej, że praktyka jest nieodłączną metodą pracy. Prawie każdego roku studenci poszerzają swoją wiedzę teoretyczną o zetknięcie się z konkretnym zakładem pracy, z jego strukturą, ułomnościami i precyzją. Czy forma praktyk stosowana na polonistyce zdaje egzamin? odpowiedź jest chyba tylko jedna NIE! Bo, po pierwsze: zbyt krótko trwają zajęcia praktyczne, a po drugie szkoła, do której kieruje się młodych polonistów przybiera zazwyczaj odświętny, lub grobowy nastrój, ponieważ nawiedzili ją studenci. Lekcje są często wyreżyserowane i bez większej korzyści dla praktykanta. Bez aranżu Panowie Kierownicy i Dyrektorzy szkół!

Odpowiedzmy sobie jeszcze na inne pytanie: czy tylko w szkole powinni odbywać praktyki studenci polonistyki? a prasa, a radio, a telewizja, a film (zakład wiedzy o filmie wypuszcza już czwarte pokolenie magistrantów), a wreszcie choćby Rady Narodowe. Miejsce pracy już po studiach filolog zawsze znajdzie, pracy nie brakuje, ale jeszcze nie zawsze jesteśmy w stanie realizować właściwą politykę kadrowo-etatową. Problemy pozostawiam otwarte, zapraszam w szranki, niech jedyną kopią będzie pióro, a jedyną kolumbryną maszyna do pisania.

Ze świata nauki

WZOREM NIETOPERZA

Przez miliony lat używały nietoperze ultradźwięków do łowienia zdobyczy. Wysyłane przez zwierzątko sygnały odbijały się od ciała ofiary i powracały jako echo do czułego ucha, informując gdzie znajduje się poszukiwana zdobycz. Lekarze (a szczególnie chirurdzy) zastosowali tę samą technikę dla nie mniej emocjonujących polowań. Sygnałami dźwiękowymi, których częstotliwość daleko przekracza zdolność słyszenia ludzkiego ucha, umiejscawiają przeznaczone do wycięcia guzy nowotworowe, określają stopień powiększenia marskiej wątroby, nawet odnajdują wadliwie działające zastawki serca, które wymagają leczenia chirurgicznego.

Ucho nietoperza rejestruje odbite od przeszkody echo wysyłanych dźwięków wysokiej częstotliwości. Człowiek zastąpił je ekranem oscyloskopowym, na którym ultradźwięki przekształcone w impulsy elektryczne, rysują obraz.

Szczególnie niezastąpiona staje się ta metoda przy badaniu kobiet ciężarnych, w odróżnieniu bowiem od promieni Roentgena nie wywiera szkodliwego działania na matkę i dziecko. Dokonując pomiarów czaszki płodu lub badając wnętrze oka, uczeni nie stwierdzili aby ultradźwięki miały jakiekolwiek niekorzystne działanie nawet na tak delikatne obiekty.

Inną ważną cechą nowej metody jest jej całkowita bezbolesność i niewielki koszt aparatury, nie przekraczający ceny przeciętnego aparatu rentgenowskiego.

Jeszcze raz człowiek zatriumfował w walce ze swoim odwiecznym wrogiem — chorobą.

MAREK BRONIKOWSKI

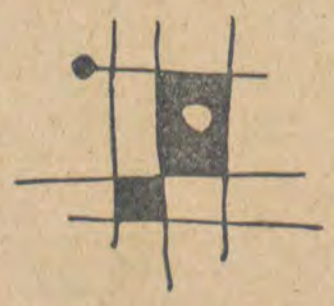

Chłopcy z domów poprawczych

Dalszy ciąg ze str. 1

Marian S. lat 16. Uśmiechnięty, bezczelny blondyn z zadartym nosem. Wykazuje chęć popisania się swoimi przygodami. „Po co się mam uczyć? Mądrych ludzi jest dosyć, a ja ministrem i tak nie zostanę. Czy pan wie, że byłem milionerem! Wziąłem spod Pałacu Kultury i Nauki zagranicznego Mercedesa i z kolegą prysnęliśmy do Zakopanego. Potem się okazało, że w wozie był schowek z dolarami. Skąd wiem? Mówili o tym na komendzie. Milion dolarów, pan wie? A Mercedesik wyciągał 200 na godzinę. Wpadłem przez kolegę, bo w Krakowie zachciało mu się piwa. To jest życie, a nie jakieś tyranie za półtora patyka".

Akta: „Marian S. lat 16 od najmłodszych lat wykazywał skłonność do fantazjowania. Szybko denerwował się. W przystępie złości bił domowników. Osadzony w zakładzie od trzynastego roku życia, kilkakrotnie uciekał. W czasie ucieczek okradał sklepy i kioski. Ojciec lat 45. Wykształcenie 4 kl. szkoły podstawowej. Nałogowy alkoholik. Pracuje dorywczo jako blacharz. Matka lat 39 nigdzie nie pracuje. W domu pozostało troje nieletnich dzieci."

Marek Z. lat 15. Mały, szczupły brunecik, o wyglądzie sennego dziecka. Na pytanie lekarza podczas badań wstępnych, czy prowadził już życie płciowe, odpowiedział: „Miałem więcej kobiet w łóżku niż pan widział wróbli". Cały pokryty tatuażami. Na narządach płciowych kazał wytatuować dewizę — „Tylko dla pań!" Mówi: „Mnie nie złapaliby, gdyby nie dziwka. Mieszkałem z nią w piwnicy, a nocą chodziliśmy „na robotę". Kiedyś przyniosłem futro i kazałem jej sprzedać. Ale kobiety są głupie i nie można im wierzyć. Ona włożyła to futro i chodziła po ulicach. No i wpadła. Rodzice Marka są rozwiedzeni, lecz mieszkają w jednym domu. Każde sprowadza sobie partnerów i często dom zamienia się w spelunkę. Ojciec lat 39, garbarz, wykształcenie 10 klas. Matka lat 32, wykształcenie średnie, nie pracuje. Na utrzymaniu pozostała 14-letnia siostra.

Rysiek M., lat 17. Robi wrażenie zdecydowanie dodatnie. Błyskotliwy w odpowiedziach, ciągle uśmiechnięty. „Z tym połykiem żyletek, to stary kawał. Robię to od kilku lat i jeszcze nic mi się nie stało. Wtedy zdenerwował mnie wychowawca: ciągle na mnie, żem głupi. Wtedy zjadłem żyletkę. Jak? Normalnie. Włożyłem do ust, pogryzłem i przełknąłem. Mówię panu, mieli strachu, jak diabli. Sprowadzili pogotowie, badano mnie, pytano czy boli. A mi śmiać się chciało z tych naiwniaczków. Tylko nasz higienista mnie rozszyfrował i radził zamknąć mnie w izolatce za symulację. Ale kto go tam słuchał! Teraz mam dobrze, bo jak coś chcę, to mówię, że będę jadł żyletki, albo poprzecinam sobie żyły. O, widzi pan? Tu kiedyś przejechałem nożem. Naprawdę, ledwo mnie odratowali. W szkole? Nie, nie uczę się. Szkoda czasu, lepiej przespać się w ławce. Czy pan myśli, że ci nauczyciele albo wychowawcy to są aż tak mądrzy? Sprzedałbym ich za pięć groszy u nas w Sandomierzu".

Jacek T. lat 16, dobrze zbudowany blondyn, milczący, nieufny. W rozmowie okazuje szacunek dla rozmówcy. Opowiada z namysłem. Widać, że stara się nie opuścić żadnego szczegółu. „Uciekłem, bo mnie coś ciągnęło na wolność. Z warsztatów przyniosłem kawałek żelaznego pręta i schowałem pod materac. W nocy ogłuszyłem strażnika, zabrałem mu klucze i paczkę papierosów. Gdy wydostałem się na drogę nie wiedziałem gdzie iść. Było bardzo ciemno i zimno. Ale na szczęście jechała ciężarówka, która podwiozła mnie do Łodzi. Nigdy nie byłem w tak dużym mieście i bałem się, że zostanę złapany. Szedłem jakąś ulicą, na której było dużo kolorowych świateł. Ciągle przechodziłem obok sklepów. Ludzi było mało. Nagle ujrzałem samochód — była to karetka pogotowia ratunkowego. Nie namyślając się wsiadłem i pomknąłem jak strzała. Jechałem cały czas na sygnale i czułem się świetnie. To był dobry wóz, wyciągał 140 na godzinę. Tak dojechałem do Kalisza. Postanowiłem pochodzić po mieście i poderwać jakąś dziewczynę, ale zabłądziłem i samochodu więcej nie znalazłem. Chodziłem kilka godzin, aż doszedłem do stacji kolejowej. Tam wsiadłem do pierwszego pociągu jaki przyszedł, a rano już byłem w Częstochowie. Tu miałem kumpli więc nakarmili mnie. Już w dzień wziąłem znów „Warszawę" i pojechałem w Polskę. Nocowałem na strychach, w piwnicach, na klatkach schodowych. Potem jeździła ze mną taka Jadźka, ale zostawiłem ją w Wałbrzychu. Wracając do Częstochowy wymieniłem swój wóz na nową „Warszawę" lecz jestem już pechowcem od urodzenia. Za siedzeniem znalazłem wódkę i to mnie zgubiło. Rozbiłem się na drzewie. Dowlokłem się jakoś do wioski i włazłem do stodoły. Rano zobaczył mnie gospodarz i sprowadził blacharzy. No i jestem teraz tutaj".

Akta: Rodzice NN. Wychowywał się w Domu Dziecka.

Jeszcze raz analizuję moje rozmowy, zastanawiając się, kim są ci chłopcy, których rówieśnicy w chwili obecnej przygotowują się do matur lub zdobywają dyplomy techników? Czy naprawdę są winni?

Przejrzałem ponad sto teczek z aktami, w których znajdują się opinie kuratorów, wywiady pracowników MO, wyroki sądowe, spostrzeżenia o każdym z chłopców poczynione przez nauczycieli, wychowawców i uwagi psychologa.

Ponad 95 proc. rodziców to alkoholicy, rozpustnicy, sadyści, rzadko posiadający wykształcenie powyżej podstawowego. Brak domu, brak rodzicielskiej troskliwości, której potrzebują dzieci, czyni z nich kłamców, życiowych cwaniaków, leniów i okrutników. Stają się niczuli na piękno, obojętni dla ludzkich cierpień, wrodzy i podejrzliwi dla każdego, kto pragnąłby mówić o poprawie. Ich naczelne hasło: „Życie jest piękne, a frajerów nie brakuje", czyni z nich niebezpieczną i potężną armię żerujących na społeczeństwie pasożytów. Mają swoich „bosów", których ślepo słuchają i którym oddają wszystko, co tylko mogą zdobyć. Tacy „bosowie" nawet w poprawczaku potrafią trzymać swych „podwładnych" w posłuszeństwie. Mają częstokroć większą władzę wśród chłopców niż dyrektor. Zdarza się, że wysyłają młodszych w nocy „na robotę", a przyniesioną zdobycz (papierosy, wódka, wino) sprzedają następnie właśnie tym, którzy te rzeczy przynieśli. Jeśli zdarzy się, że ktoś „wpadnie", nigdy nie pociąga się do odpowiedzialności „bosa", gdyż zdradzić prowodyra, to to samo, co podpisać na siebie wyrok śmierci. Dyscyplina gangów jest silna, dlatego tak ciężko jest niekiedy walczyć z nimi.

Kiedyś do K. przywieziono małego Romka H. tak wycieńczonego, że zachodziła obawa, czy nie jest chory na gruźlicę. Poddano go badaniom, położono w izbie chorych i po kilku tygodniach chłopiec przybrał na wadze, zaczął chodzić do szkoły, a wreszcie rozpoczął pracę w warsztatach. Na żadne pytania, dotyczące swego wycieńczenia, nie chciał jednak odpowiadać. Dopiero przypadek dopomógł w wyjaśnieniu tego zagadkowego zjawiska. Romek pojechał pewnego razu z wychowawcą do miasta, a że pobyt ich przeciągał się i byli głodni, wychowawca zaprowadził go na obiad. Wtedy opowiedział, że w zakładzie wychowawczym mógł jeść tylko śniadania, bo obiady i kolacje musiał oddawać „bosowi".

Właśnie to, tzw. „drugie życie" w zakładach poprawczych jest tępione niemiłosiernie przez personel wychowawczy, gdyż wiadomo z praktyki, że tam, gdzie rządzi jakiś prowodyr, nie może rządzić dyrektor ani wychowawcy.

Jak już wspomniałem, chłopcy mogą oglądać programy telewizyjne, słuchać radia, czytać książki (w bibliotece około 2000 tytułów). Ale powodzeniem cieszą się jedynie filmy z serii „Bonanza" i „Syn hrabiego Monte-Christo", rzadko komedia. W czasie mojego pobytu w zakładzie wyświetlano „Życie Marii Curie-Skłodowskiej" — przed telewizorem siedziało pięciu chłopców.

W bibliotece dzieła klasyków pokrywa pomału kurz, natomiast „kryminały" są rozchwytywane. Na moje pytanie, dlaczego nie czytasz książek Sienkiewicza i Kraszewskiego, Marek M. odpowiedział: „To wszystko lipa. Życie jest smutne i bez książek. I tak silniejszy ma rację".

Są tacy, którzy całymi dniami oddają się z pasją pisaniu powieści, w których centralną postacią jest zawsze jakiś niezwykle sprytny złodziejaszek, taki rodzimy Cartouche, posiadający cechy samego autora. Przygody bohatera, to oczywiście prawdziwe i zmyślone zdarzenia z życia piszącego, z których wychodzi zawsze zwycięsko. Gazety, radio, telewizja nadają listy gończe, nie udolna milicja szuka go po całej Polsce, a on spokojnie spędza rozkoszne chwile z żoną samego komendanta (!).

O godzinie 18 ustawia się kolejka przed ambulatorium. Lekarz, pogodny starszy pan, cierpliwie wysłuchuje skarg swoich pacjentów. Najczęściej narzekają na bóle głowy. Każdy z nich wie, że lekarz nie jest w stanie sprawdzić, czy rzeczywiście dolegliwości, jakie podaje, są prawdziwe. Przychodzą do lekarza, bo to dla nich odskocznia od codziennych zajęć w szkole czy pracy w warsztatach. Wynajdują nieprawdopodobne objawy, starają się zaskoczyć lekarza dolegliwościami, jakich nigdy nie notowały kroniki lekarskie. Pewnego razu jeden z chłopców tak przekonywająco zasymulował zawał mięśnia sercowego, że lekarz wezwał pogotowie. Wtedy chory zerwał się z łóżka i zaczął tańczyć. Chciał skompromitować starego lekarza, a tym samym zaimponować kolegom.

Są wychowankowie, którzy są plagą ambulatoriów lekarskich. Obsesyjna obawa o własne zdrowie robi z nich nachalnych pacjentów, bezczelnych kłamców, zdecydowanych na wszystko brutali. Niektórzy wręcz żądają zwołania konsylium złożonego z wybitnych naukowców, gdyż wydaje im się, że upadają na siłach i niedługo umrą. Znów przeglądam ich akta osobowe i porównuję wyniki badań wykonanych w dniu przybycia do zakładu i w chwili obecnej: przeciętnie notuje się przyrost wagi około 5 kg w ciągu czterech miesięcy. W jadłospisie na dzień 14 bm. czytam: śniadanie — bułki, masło, biała kawa. Obiad — barszcz czerwony z makaronem, bitki wołowe, ziemniaki, marchew, kompot. Kolacja — chleb, margaryna, ser topiony, herbata.

Rozkład dnia wygląda następująco: pobudka o 6 rano. Gimnastyka, mycie się, sprzątanie. O 7 śniadanie, apel i do szkoły na 8. Zajęcia w szkole i w warsztatach trwają do wpół do szesnastej. Potem obiad, sprzątanie, odrabianie lekcji, pisanie listów i czytanie książek. Kolacja o 19 i do 22 czas wolny na oglądanie programu telewizyjnego, słuchanie radia itp. Nad wychowaniem nieletnich przestępców pracuje 12 wychowawców, 7 nauczycieli przedmiotów ogólnych, 7 nauczycieli zawodu, psycholog, lekarz ogólny, stomatolog, higienista, 7 osób personelu administracyjnego oraz 18 osób obsługi pomocniczej.

Ludzie ci poświęcili się pracy wychowawczej: ich największym atutem w grze o zwycięstwo nad złem jest wiara w człowieka. Chciałbym przytoczyć słowa, jakie usłyszałem od kierownika internatu p. Ryszarda przy pożegnaniu: „Nie ma złych dzieci, są jedynie dzieci zaniedbane".

BERNARD KOWALSKI

Czy jest gdzieś Astrolog

Cały ten problem załatwiają w Łodzi Cyganki. Stoją przed Dworcem Fabrycznym, wschodnim obyczajem nachalnie szarpią przechodniów za rękaw — i wołają:

— Powróżyć, panie, powróżyć...!

Cyganka wszystko ci powie. Określi bardzo dokładnie, jakiego diabełka przyniesie na swych sutych skrzydłach — oby, oby... — rok 1965. A może to nie będzie wcale diabełek, lecz blond-aniołeczek, który gdy tego zechcesz, pofika nóżkami? Do czorta z aniołeczkiem, masz już jednego i starczy? Wspaniale. Wobec tego Cyganeczka wywróży ci milion w totka, jugosłowiańskiego fiata i na dodatek willę za pół miliona.

W Łodzi parają się tym Cyganki, w Paryżu, Londynie, Frankfurcie do dzieła zabrali się dyplomowani wróżbici.

Wróżbiarstwo to przecież profesja, zastrzeżona dla wąskiego kręgu wtajemniczonych.

Jaki będzie rok 1965? Czołowe dzienniki zachodnioeuropejskie pełne są informacji na ten temat i to z pierwszej ręki. Więc fachowej. Jaki to będzie rok, dobry czy zły, burzliwy czy spokojny, pomyślny dla biznesu, czy grożący inflacją? Madame Blanche Orion, wróżbiarka znakomita, do której trudniej się dostać, niż do ministra w Afrostanie, utrzymuje, że rok 1965 będzie trudny, ale nie katastrofalny. Madame Francoise Desloges jest zdania, że będzie źle, wręcz apokaliptycznie źle. Natomiast madame Luce Vidi, która odczytuje przyszłość z atramentowych kleksów na bibule, sądzi, że nie ma powodów, aby zbytnio się martwić. Jakoś tam będzie. Słynny Mario de Sabato twierdzi, że Francja pogrąży się w strajkach. Madame Jessica powiada, że bardzo wzrosną koszty utrzymania. Madame Mallay mówi, że w tym roku wszyscy na powrót będą dyskutować tylko o Brigidce Bardot. Nie ma natomiast zgody co do tego, czy Johny poślubi Sylwinę. Owszem, zrobi to — powiada madame Jessica, nieprawda, nie zrobi — zaprzecza monsieur de Sabato, poślubi — dodaje madame Mallay — ale małżeństwo nie potrwa długo...

Największym wzięciem na progu nowego roku cieszą się jednakże astrolodzy.

Jest ich we Francji 35 tysięcy, cała armia. To ludzie pryncypialni i sierioźni, przeto nad wyraz poważni. Mają wzrok utkwiony we wszechświecie, w gwiazdach, a nie w żadnych tam kleksach po atramencie, czy w brudno-lepkich kartach. To bardzo skomplikowane zajęcie — podsłuchiwać szmer planet, wtryniać się wytrychem w gwiezdną duszę kosmosu. Zwłaszcza jeśli astrolog jest ambitny i stosuje pionierską metodę Niemców z Bonnlandu. Zachodnioniemieccy astrolodzy największą wagę przykładają ponoć do 8 miniaturowych planet Neptuna, o których nikt nigdy prawie niczego nie słyszał. Pora iść z duchem czasu — krzyczą nad Renem — to skandal, byśmy po dziś dzień opierali się na babilońskich tabliczkach sprzed kilku tysięcy lat.

Jest rzeczą zastanawiającą, że wraz z atomem i elektroniką, największy rozkwit astrologii nastąpił właśnie w XX wieku.

Amerykańscy multimiliarderzy nie mogą się obejść bez astrologów. J. P. Morgan był szeroko znany ze scepticyzmu, żeby nie powiedzieć z cynizmu. A jednak zawsze z wielkimi honorami podejmował na swym dworze mister E. Adamsa. Mister Adams to bardzo wybitna indywidualność w królestwie astrologii. Dlatego indywidualność, że kto go zobaczy, już nie zapomni. Brał też bajońskie honoraria, ale widać zarabiał na siebie, skoro Morgan trzymał go w charakterze doradcy giełdowego. Wiemy dobrze kim był Winston Churchill. To był przecież historyk, mąż stanu, orator, pisarz, premier rządu Jej Królewskiej Mości podczas II wojny światowej. Ten rząd miewał przedziwne upodobania. Zatrudniał na etacie sławę w dziedzinie astrologii. Zatrudniał Louis de Wohla.

Usługi astrologów bywają czasem kłopotliwe. Zwłaszcza w krajach Dalekiego Wschodu.

Następca tronu królestwa Sikkim w południowych Himalajach musiał na rok odłożyć ślub z prześliczną miss Hope Cooke. Horoskop wypadł tak niepomyślnie, że dobro królestwa musiało przeważyć nad książęcą chętką. Książę zgrzytał i czekał. Nie mógł inaczej, z gwiazdami lepiej nie zaczynać. Czyż niejaki John Case nie napisał w 1697 roku, że — „Słońce, księżyc i gwiazdy zostały stworzone 22 kwietnia, o godzinie 6 rano, w roku 4002 przed narodzeniem Chrystusa..."

Ten fakt mówi za siebie, gwiazdy były pierwsze.

Więc już chyba lepiej zacząć z Cygankami przed Dworcem Fabrycznym, które pocieszą jak nikt inny. Dzieweczko, jak nie blondyn, to brunet ci się trafi. Ktoś tam czeka na ciebie, leje łzy niczym krokodyl w łódzkim ZOO, wzdycha, tak wzdycha, że gdy usłyszysz od razu zrobi ci się lżej na sercu. Oj, te Cyganki, są lepszymi psychologami, niż magistrzy po uniwersytetach. Dobra wróżba! Cóż to jednak za wspaniała kuracja, leczy z kompleksów, obsesji, poczucia niższości. I to za jedyne 10 złotych. Jaki będzie 1965 rok?

Ba, żebym to wiedział. Byłoby jednak niezłą zabawą, zapytać o zdanie i przeczytać w „Odgłosach", co myśli o bieżącym roku jakiś astrolog. Jeśli, rzecz prosta, ten gatunek homo sapiens jeszcze się w Łodzi zachował.

B.

Książki nadesłane

Praca zbiorowa — TRANZYTEM PRZEZ ŁÓDŹ — Wydawnictwo Łódzkie, cena zł 30. —

H. Markiewicz — PRUS I ŻEROMSKI — PIW, cena zł 30. —

Sz. Asz — OPOWIADANIA — Czytelnik, cena zł 12.

W. Faulkner — ZAŚCIANEK — Czytelnik, cena zł 30. —

U. Kozioł — POSTOJE PAMIĘCI — LSW, cena zł 22. —

M. Rusinek — NIEBIESKIE PTAKI — LSW, cena zł 15. —

STUDENCI

JAN HUSZCZA

Ci, którzy na serio przygotowywali się do egzaminów, nie spędzali czasu na spotkaniach w kawiarniach, czy na włóczędze po mieście. Nie prowadzili konspiracyjnych szeptów i nie wymieniali sprzecznych, przeważnie mylnych, informacji o kruczkach, podstępach i słabostkach bogów uniwersyteckich, czyli panów profesorów, natomiast przepytywali siebie, robili wyciągi, ślęczeli nad skryptami, dzielili się notatkami z wykładów. Owijano głowy zwilżonymi ręcznikami, wypalano setki papierosów i uciekano się do kawy, napoju poza tym raczej jeszcze obojętnego.

Piękna pora roku wyjątkowo nie sprzyja rezygnacji ze zmysłów. Niektórzy więc wychodzili do parków, aby uczyć się, siedząc na zacisznych ławeczkach, odrywając przelotnie wzrok od drukowanych liter i przenosząc go to na dymiące okiście bzu to, z westchnieniem, na przechodzące obok dziewczęta.

Justyn z dwoma panami, z którymi odtąd będzie przebywać coraz częściej, również pewnego ranka znalazł się na jednej z ławeczek, strzeżonej przez krzewy jaśminu, bowiem w tym czasie bez już przekwitł i zaczęła się pora cierpko pachnących, kremowych jaśminów.

Przedstawmy tych dwóch panów. Obaj byli w okularach, wyglądali więc na młodych naukowców, ale świadczyły o tym tylko i jedynie wspomniane okulary.

Jeden z panów nazywał się Czortohryz, a drugi Czuryłowicz. Obaj byli studentami ze stażem, Czortohryz miał za sobą nieudany rok chemii, Czuryłowicz zaś rok prawa, teraz po swojemu zamartwiali się złowieszczo nadciągającymi terminami. Walczyli najpierw o ich odroczenie na jesień, niestety, nie mogli poprzeć zabiegów jakimikolwiek usprawiedliwiającymi dokumentami. Jeśli zajdzie konieczność powtarzania roku, to Justyn i Czuryłowicz będą musieli starać się o pozwolenie na kontynuowanie studiów aż w ministerstwie. A nawet gdyby takie pozwolenie uzyskali, to rodzice mogliby stracić cierpliwość i odmówić im dalszego pobytu w uniwersyteckim mieście, który to pobyt bardzo sobie cenili, czuli się w nim bowiem doskonale, przez wiele miesięcy nie pamiętając o tym, że na studentach ciążą jednak dość absorbujące, aczkolwiek oczywiste obowiązki.

Rozważania snuł gruby Czuryłowicz, często pociągając nosem, gdyż miał chroniczny katar:

— Panowie, szykuje się większa chryja... Wczoraj jednego z naszych policja, wykonując zarządzenie starosty, zabrała do Berezy...

— Kogo? — zapytał Justyn, choć polityką mało się zajmował, prawdę mówiąc, wcale nią się nie zajmował.

Za to Czortohryz zastrzygł uszami...

— Kogo? Łopiana! Naszego prowodyra, takiego zdolnego chłopaka! — Czuryłowicz miał mieczyk, wszpilony w klapę marynarki. I to za co?! — oburzał się. — Że ubliżył pamięci zmarłego Marszałka? A czemuż to zmarły Marszałek lekceważył narodową demokrację?, która jest rzeczywistą reprezentacją narodu!

— Czego więc spodziewacie się po tym fakcie? — Czortohryz wstał z ławeczki, lubił każde zamieszanie, choć nie należał do żadnej orientacji.

— Łopiana muszą zwolnić! Bereza dobra jest dla żydokomuny, ale nie dla prawych obywateli, walczących o mocarstwowe stanowisko ojczyzny! — perorował Czuryłowicz. — Zwołamy wiec, może dojdzie do zajść, a wtedy...

Wtedy i egzaminy wezmą w łeb! — rozmarzył się na krótko Czortohryz.

Justyn był sceptykiem, choć treść marzenia bardzo mu odpowiadała:

— Nie pieprz Pietrze pieprzem wieprza, bo przepieprzysz Pietrze pieprzem wieprza! Większość chce się uczyć i zdobywać dyplomy. Większość nigdy nie ma polotu. Zajścia nie udadzą się, jesienią to byłaby jakaś szansa, ale przed końcem roku... Oj, mylicie się!

— Tkwi w tobie duszyczka zgniłego inteligenta! — ze zgorszeniem orzekł Czuryłowicz. — Nie wierzysz w nasz ruch...

— Wierzę... wierzę... ale do zawieszenia wykładów nie dojdzie. Nasza sytuacja wymaga jakiegoś innego rozwiązania...

— Jakiego? Idź i wkuwaj!

— Lubię ja kwiatki, kiedy w maju! Z innymi przedmiotami może by mi jakoś i poszło, ale przez prawo rzymskie na pewno nie przebrnę. Za późno! A jak u was z prawem rzymskim?

Czuryłowicz i Czortohryz głęboko westchnęli:

— Jeszcze gorzej czyli tak jak u ciebie, brachu!

Trzej panowie, często sięgając do srebrnej papierośnicy Czuryłowicza, skoncentrowali się na prawie rzymskim, a właściwie na jego uniwersyteckim reprezentancie.

Jeszcze raz przypomnieli sobie wszystkie plotki o jego słabostkach i podstępach, ale było to zajęcie jałowe, w niczym nie wróżące pomyślniejszej zmiany w sytuacji weteranów.

Na ławeczce po drugiej stronie wyżwirowanej drożyny usadowiła się dziewczyna o barokowych wypukłościach. Przyprowadziła ze sobą chłopczyka, wyglądającego na cztery a może na pięć latek.

Chłopczyk zachowywał się jak swawolny Dyzio, dziewczyna ciągle przywoływała go do ławki, nic więc dziwnego, że panowie po chwili znali jego imię.

W tym czasie panowie wpadli w zadumę, przyglądali się niani o piegowatym nosku, obserwowali chłopczyka, bawiąc się jego niesfornością. Czuryłowicz, który często odwiedzał tę właśnie alejkę, coś sobie przypomniał i zniżonym głosem poinformował:

— Czy wiecie czyj to jest ten piekielny Maryś? — Pytanie zawisło w przesyconym zapachami i ożywionym przez wróbli ćwierkot powietrzu, więc sam musiał na nie odpowiedzieć: — To późny synek pana profesora od rzymskiego prawa! — Złośliwie zarechotał: A może i nie jego, w każdym bądź razie jego nosi nazwisko...

Panowie przyjęli tę informację dość obojętnie, mimo iż w niedalekiej przyszłości ta właśnie informacja pobudzi ich do aktywnego działania...

*

W trzech panach — wymieńmy ich tutaj jeszcze raz: Montygierd-Boyko, Czortohryz i Czuryłowicz — dojrzał szatański plan, którego rodowodu należałoby się doszukiwać w owej rozmowie na ławeczce, naprzeciwko której beztrosko siedziała niania synka pana profesora, małego Marysia.

Plan miał kilka wersji. Co do szczegółów, ulegał modyfikacjom i poprawkom, stale tropiono w nim usterki. Sprowadzał się do jednej zasadniczej idei: do szantażu, opartego o porwanie tegoż Marysia.

Innym źródłem awanturniczego planu była lektura powieści kryminalnych i gazet, od czasu do czasu donoszących o amerykańskich kidnaperach.

Niania, nosząca wdzięczne imię Anetki, regularnie zjawiała się w owym ogrodzie z Marysiem, gdyż nie było to daleko od mieszkania pana profesora. W ogrodzie przebywała z chłopczykiem w porze przedobiadowej, zdarzało się, że przychodziła z nim i po południu.

Panowie parokrotnie odwiedzili ogród, starając się dokładniej zaobserwować Anetkę, przyjrzeć obyczajom i narowom chłopczyka o opadających aż na plecy kędziorach. Chłopczyk od początku nie wyglądał na łatwego, niejaki optymizm u panów wywołały dwa jego, łatwe do zauważenia, kaprysy: nie lubił zbyt wcześnie wracać do domu; Anetka przynosiła ze sobą blok rysunkowy i pastele, gdyż Maryś chętnie sadowił się na jej kolanach lub na ławeczce i rysował, każąc potem niani zgadywać treść malunków. Nie miał widocznie wyraźniejszych zdolności do rysowania, gdyż do czujnych uszu trzech panów dochodziły odgłosy sporu: Anetka w osiołku rozpoznawała autobus, w małpie kurę, w Babie Jadze samego Marysia. A może po prostu droczyła się z chłopcem?

Panowie znali co nieco obyczaje nian, wiedzieli, że przepadają przeważnie za rozmowami i flircikami z przysiadającymi się do nich amatorami wdzięków. Wdziękami dysponowała i Anetka. Nic więc dziwnego, że między panami Justynem i Czuryłowiczem doszło do sporu: każdy z nich chciał odegrać rolę uwodziciela, a nikt nie kwapił się do roli porywacza Marysia... Postanowiono wreszcie, żeby to rozstrzygnął los. Krótszą z zapałek wyciągnął Justyn Montygierd-Boyko.

Tedy Czuryłowicz miał wdać się w żywą pogawędkę z piersistą Anetką, Justyn zaś miał uprowadzić Marysia, czuwanie nad przebiegiem całej operacji spadło na Czortohryza, zresztą, tylko dlatego w to się zaangażował.

Sprawa nastręczała mnóstwo kłopotów, nasuwała wiele pytań, należało przewidzieć rozmaite okoliczności, była w ogóle niebezpieczna, brzydko, w razie niepowodzenia, rokowała. Panowie, mimo przeróżnych wątpliwości, osiągnęli jednak wysoki stopień determinacji. Otrzymanie pozytywnej oceny z wiedzy o prawie rzymskim było pociągająca stawką, aczkolwiek mogli o nią od dwóch lat w inny zabiegać sposób, mniej co prawda efektowny i bardziej pracowity, ale za to bez porównania pewniejszy.

Postanowili porwać dziecko i wymusić na profesorze, żeby studentkom i studentom zadawał w czasie egzaminów trzy przez nich wybrane i zakomunikowane pytania, do których z łatwością mogli się przygotować: trzy określone pytania z olbrzymiego podręcznika i brulionowych notatek to fraszka!

Ale w jaki sposób miały te pytania dotyczyć najbardziej zainteresowanych, przecież było niemożliwością, żeby paru setkom dopuszczonych do egzaminu studentów profesor stawiał wciąż te same pytania?

Długo nad tym się głowiono. Indeksy leżały w dziekanacie, oczekiwano wywieszenia list na ścianie kancelarii z nazwiskami dopuszczonych do egzaminu i terminami.

Wolno przypuszczać, że sprawa upadłaby, gdyby nie dziwaczna inteligencja Czortohryza. To na niego naszło olśnienie, a całą noc spędził na dumaniach, wynikające z pierwszych liter nazwisk osób najbardziej w aferze zainteresowanych. Boyko, Czortohryz, Czuryłowicz, no, ewentualnie Dowmont, gdyż go lubili. (Co do Świrki panowało przekonanie, że poradzi sobie bez ułatwień!). Zażąda się od profesora, żeby ustalone przez grupę pytania dotyczyły osób, których nazwiska w alfabecie zaczynają się na litery A,B,C,D, i, na wszelki wypadek, E, aby wykrycie sprawców stało się czymś nieprawdopodobnym, bo przecież co najmniej ze trzydzieści osób spośród przystępujących do egzaminów będzie nosiło nazwiska, rozpoczynające się od wymienionych liter.

Raz panom wszystko wydawało się wzruszająco łatwe, kiedy indziej zaś wpadali w zwątpienie, nie wierząc w możliwości zrealizowania zamiaru...

Ustalili w końcu dzień wyczynu na parę dni przed początkiem egzaminów... Chcieli mieć rezerwę na wypadek jakichś komplikacji.

Nowy kłopot nasunęła okoliczność, iż profesorzy na ogół egzaminują po dwie lub trzy osoby na raz. Ale wobec tego zmodyfikowano żądanie: profesor ma prawo do pytań z własnego repertuaru, w każdym jednak wypadku muszą one być przemieszane z ustalonymi przez kidnaperów. Inaczej mówiąc, nie potraktowano profesora zbyt rygorystycznie, pozostawiając mu margines niejakiej swobody.

Czuryłowicz proponował, żeby narzucone profesorowi pytania dotyczyły tylko panów, ale kolegium doszło do wniosku, że mogłoby to ułatwić rozpoznanie przestępców, w dodatku Czortohryzowi zależało na ułatwieniu życia pewnej kuzynce o nazwisku, zaczynającym się od litery C... Każdy z nich zresztą miał na myśli kogoś, komu chciałby oddać bezinteresowną przysługę...

Pokój Czortohryza malowniczy przedstawiał widok. Student ten mieszkał w śródmieściu, stać go było na pokój z używalnością łazienki, telefonu i ubikacji. Czortohryz z ubikacji korzystał zapewne w sposób zgodny z potrzebami natury, łazienkę chętnie omijał. Pościel jego, byle jak przykryta, nieczęsto docierała do pralni, golił się trzy razy w tygodniu — zresztą, w tym wieku zarost nie zawsze o częstszą interwencję się domagał — kołnierzyki leżały na stole obok bochenka chleba i stert książek, ani jeden z nich nie świecił „niepokalaną białością", cukier przechowywał w trupiej czaszce, choć należało to raczej do obyczajów, niektórych studentów medycyny. Czortohryz dumny był z tej czaszki, zawsze zwracał się do niej ceremonialnie per Basiu i twierdził, że jest to jedna z trzech znanych historykom czaszek romantycznej Barbary Radziwiłłówny. Goście, którzy go czasem odwiedzali, nie zawsze odznaczali się szybkim refleksem i dawali się na ten test sromotnie nabrać, naiwnie zapytując:

— A gdzie znajdują się dwie pozostałe?

Czortohryz z satysfakcją przygładzał lewą ręką bujną czuprynę, prawą przesuwał okulary bliżej oczu i poważnie odpowiadał:

— Nie wiem... Moja, w każdym bądź razie, pochodzi z okresu pierwszej znajomości Barbary z Zygmuntem Augustem... — wypowiedziawszy to, śmiał się długo, jego śmiech przenikał oklejone brazową tapetą ściany pokoiku i docierał do szerszego kręgu znajomych. Zadający pytanie przestawał poznawać na ulicy właściciela czaszki, powiększał bowiem grono ośmieszonych. A ponieważ wielu ludzi nie odznacza się właściwym refleksem, zespół przyjaciół Czortohryza był dość szczupły, zmienny. Rekrutował się przeważnie z tych, którzy na podstęp, zawarty w informacji o czaszce Barbary Radziwiłłówny, odpowiadali pytaniem, nacechowanym naukową dociekliwością:

— A kto ma czwartą czaszkę?

Tacy mogli korzystać z żywej inteligencji Czortohryza, mogli w razie skomplikowania się własnej sytuacji mieszkaniowej, spędzić u niego dwie lub trzy noce na obciągniętej spłowiałym rypsem leżance, ustawionej przy piecu z białych kafli.

Tym razem w pokoju Czortohryza, napełnionym papierosowym dymem, siedzieli trzej konspiratorzy, zajęci naukową debatą. Chodziło o ustalenie trzech pytań, które miały obowiązywać profesora prawa rzymskiego w stosunku do delikwentów o nazwiskach, zaczynających się od pierwszych pięciu liter alfabetu.

Za podstawę debaty służył opasły podręcznik, do którego co chwila zaglądano, przerzucając palcami jego nieco zatłuszczone kartki.

Mówił Justyn:

— Niech będzie lex Junia Petronia...

— Co to za lex? — pytał Czuryłowicz.

— Ustawa, zabraniająca skazywania przez panów swych niewolników na walkę ze zwierzętami w cyrku.

— Postępowa... Akceptuję! — uznał Czortohryz, szermierz postępu w różnych dziedzinach życia.

W podobny sposób dobierano dalsze pytania. Czortohryz zapisywał je na arkuszu podaniowego papieru. Każdy z kolegów wysuwał inne propozycje, mając na względzie własną wiedzę na temat poszczególnych zagadnień, aby nie trzeba było dodatkowo się douczać. Z dyskusji jednak wynikało, iż wiedza trzech zainteresowanych jest dość uboga i wszystkie niemal zagadnienia z podręcznika były im dość obce. Tylko Czortohryz obstawał za trudniejszymi pytaniami, proponując rozszerzenie ich listy. Postanowiono jednak dobierać kwestie naimniej skomplikowane, nie wróżące zasadzek, Czortohryz musiał ulec większości.

Na arkuszu, zapełnianym drobnym i starannym ołówkowym pismem, czerniało kilka kwestii. Przepiszmy je z tego arkusza:

Jurisdictio inter privatos.

Postępowanie in jure i postępowanie in iudicio (Podobno jedno z ulubionych pytań pana profesora, trzeba uwzględnić jego ludzkie nawyki!).

Lex Calpurnia de ambitu (Zbyt szczegółowe i błahe, skreślić!)

Lex Junia Petronia

Ius edicendi

Manumissio

Lex Ovinia

Rola collegium pontificum

Quaestiones perpetuae...

Czortohryz znowu tak się rozochocił iż, ożywiony bezinteresowną ciekawością, zapragnął jeszcze z różnych kart książki wypisać kilkanaście punktów, jednak Czuryłowicz chwycił go za wątłą rękę z ołówkiem, zaś Justyn wycofał sprzed niego arkusz z pytaniami.

Padł stanowczy postulat, by spośród upatrzonych dotąd kwestii wybrać trzy dla przesłania panu profesorowi. Chciano to od razu ustalić, ale Czortohryz uparł się, iż sam dokona wyboru, wybrane pytania przepisze na karteczkach i jutro lub pojutrze rozkolportuje te „losy szczęścia" wśród zainteresowanych oraz z nimi zaprzyjaźnionych lub z innych jakichś powodów zasługujących na koleżeńską przysługę.

— A co słychać u Anetki? — Chortohryz zwrócił się do Czuryłowicza.

— Miewa się doskonale. Wczoraj zawarłem z nią znajomość. — Czuryłowicz spojrzał na naręczny zegarek, zdobiący jego ponad normę owłosioną rękę. — Dziś o drugiej mam z nią spotkanie w „naszej alejce"...

— Będzie i Maryś?

— Oczywiście...

— Co możesz powiedzieć o Marysiu?

— Kapryśny i rozpuszczony chłopczyna... Justyn, musisz kupić pastele i blok rysunkowy, gdyż dziecko lubi rysować i lubi, żeby mu rysowano. Chłopak z pewnością w niebywały sposób ożywi mieszkanie tej twojej, jak jej tam...

— Zinaida Piatnickaja...

— Lubi chłopczyków?

— Owszem, ale raczej trochę starszych... — niechętnie odrzekł nasz korporant, przypominając niedawną przygodę. Spochmurniał, gdyż przewidywał, że w razie przedłużania się sprawy, rzecz nie skończy się na jednej przygodzie, a on wolałby przecież cały czas poświęcić Tekli nawet w wypadku, gdyby to nie uwieńczyło się jakimkolwiek doraźnym rezultatem.

— A więc, panowie, do dzieła! — rozkazująco zawołał Czortohryz i wysunął przed siebie prawicę, co oznaczało, iż pragnie rozstać się z kolegami. — Czasu mamy coraz mniej! — dodał, by złagodzić wymowę zbyt obcesowego pożegnania. — A czas to działanie!

(Fragment opowieści pod powyższym tytułem)

Gunar Krollis. Litewska SRR. *Dziewczynka*

EWA SIEMIŃSKA

Stare i nowe
czyli dwa oblicza
Teatru Powszechnego

Szkoda, że stara maksyma, „nie ilość jest ważna, ale jakość" nie obowiązuje w łódzkim świecie teatralnym. Mówiąc dokładniej, godny ubolewania jest fakt, że maksymy tej nie wziął sobie do serca Teatr Powszechny. Prawda, że repertuar tego teatru jest wielce różnorodny. „Dla każdego coś miłego": dla dorosłych i dla dzieci, dla miłośników obcego i rodzimego dramatu, dla tych, co chcą oglądać starocie i tych, co wołają o współczesność. Wszystko to równocześnie. Na zmianę.

„Założeniem staje się repertuar popularny, który może dotrzeć do szerokich rzesz publiczności robotniczej i młodzieżowej" — pisze o tendencjach Teatru Powszechnego po roku 1959 jego kierownik literacki — Irena Bołtuć-Staszewska w programie do dramatu „Ktoś nowy". Chwalebny to zamiar. Tylko sposób jego realizacji musi budzić chwilami zastrzeżenia. Przekonanie to wyniosłam z Teatru po obejrzeniu molierowskiej „Szkoły żon". Inscenizacja ta od trzech miesięcy nie schodzi z afisza. Obok niej — „Ktoś nowy" Marka Domańskiego. Zestawienie to jest celowe. I nie ze względu na zbieżność dat premier obu sztuk (premiera sztuki Domańskiego wyprzedziła o dwa tygodnie „Szkołę żon"). Właśnie w tych inscenizacjach Teatr Powszechny objawił swoje dwa różne oblicza. Zupełnie do siebie niepodobne. Oglądając sztuki: „Szkoła żon" i „Ktoś nowy" trudno wręcz uwierzyć, że wystawił je ten sam teatr. Pierwsze wrażenie, to uczucie zaszokowania. Drugie — pewnego zawstydzenia. Bo gra kontrastów w tym zestawieniu to nie tylko sprawa starego i nowego w teatrze, odmienności gatunkowej klasycznej komedii i dramatu współczesnego, to nade wszystko sprawa krańcowo odmiennych wartości obu inscenizacji. Powierzchowność „sąsiaduje" tu z pieczołowitością, pójście na łatwizny z ambicją. Inscenizacja „Szkoły żon" jest, niestety, nieudana. Natomiast „Ktoś nowy" stanowi pozycję mocną. Dobrą i interesującą. Ta rozbieżność wartości musi budzić niepokój. Właśnie dlatego, że jest tak duża. Przyjrzyjmy się jej więc dokładniej.

Tadeusz Boy-Żeleński pisze o „Szkole żon": „Ta sama tradycyjna historia: zazdrośnik wyprowadzony w pole przez kobietę. Ale z tej starej fabuły wyłania się tu już nowoczesna komedia obyczajowa, komedia mieszczańska, komedia narodowa, komedia charakterów, komedia psychologiczna, realistyczna i nawet — jak chcą niektórzy — komedia dydaktyczna, „sztuka z tezą". Wreszcie komedia ta daje już zapowiedź nowoczesnego dramatu". („Molier" — monografia).

Bardzo mocno podkreśla Boy-Żeleński psychologiczną stronę komedii. To ona sprawia, że komizm graniczy często u Moliera z tragizmem. Na naszych oczach dokonuje się metamorfoza charakterów, ewolucja namiętności. Toteż Molier nie tylko śmieszy. Wzrusza także. Przepiękna dramat z farsą. A przede wszystkim buntuje się przeciwko autorytetom. Obyczajowym i filozoficznym. Wszystko to rzeczy znane, nienowe. I dlatego inscenizacja Teatru Powszechnego razi tym bardziej. Inscenizatorzy zapomnieli bowiem o przemianach w charakterach postaci, o ewolucji uczuć. Od początku do końca postawili na farsowość. Przyznali pierwszeństwo temu, co u Moliera nieważne, co jest pretekstem — fabule. W efekcie — spłycili i zafałszowali Moliera. Odebrali urok słowu komediopisarza. Aktorzy pomogli w tym, jak umieli. Chwilami odnosi się wrażenie, że mówią swoje kwestie na czas, usiłując pobić własne rekordy. Cała ta niefrasobliwość i bezceremonialność w potraktowaniu Moliera dziwi tym bardziej, że właśnie temat, właśnie fabuła tak akcentowana przez Teatr traci myszkę. I nie potrafi zlikwidować jej anachronizmów hojnie szafowane ze sceny „psiakrew". Doprawdy, nie tędy droga do uwspółcześniania Moliera! Dlaczego Zbigniewowi Cynkutisowi kazano w roli Horacego balansować po scenie jak podlotkowi i mierzyć temperaturę uczuć wysokością podskoków, tego doprawdy nie rozumiem. Powierzchowność inscenizacji w podejściu do Moliera zadziwia swą konsekwencją. I nie może uratować sytuacji nie wiadomo po co filmowo oświetlona i eksponowana na balkonie Pola Raksa na samym początku komedii. Tanie i efekciarskie.

Zabrakło tej inscenizacji przemyślanej i umotywowanej koncepcji. To od początku skazało „Szkołę żon" na niepowodzenie. Oczywiście artystyczne, nie kasowe. I to jest właśnie owo mniej reprezentatywne oblicze Teatru.

Jeśli „Szkoła żon" to teatr gorszy, kategorii B lub C, to „Ktoś nowy" stanowczo należy do A. Realistycznie (a więc odmiennie niż krakowska) pomyślana inscenizacja zdała tu znakomicie egzamin. Dramat współczesny powinien porywać widza, wciągać go do dyskusji. Ale żeby zafascynować odbiorcę, musi naprzód porwać aktorów. To zaangażowanie aktorów jest w inscenizacji dramatu wyraźne. Co prawda sam tekst Domańskiego posiada walory „samograja". Szczęśliwie się składa, że nie skończyło się na tym walorze. Cały zespół aktorski zaprezentował dobrą, wyrównaną grę. Powstały w ten sposób postaci pełnokrwiste, pełne temperamentu, z dobrym nerwem dramatycznym. Doskonały jest Leon Niemczyk w roli Kukuły — dyrektora, znakomita Izabella Pieńkowska jako sekretarka, dobra Alicja Sobieraj w roli kierowniczki stołówki czy Bohdan Sobiesiak jako przedstawiciel Samorządu Robotniczego. Zresztą słowa uznania należą się całemu zespołowi, który doskonale wydobył i odpowiednio zaakcentował satyryczną stronę dramatu. Pasja demaskatorska, nerw polemiki przenikają nie tylko ze słów, również z tonu wypowiedzi, mimiki, gestów. Postaci urzekają swoją prawdziwością, codziennością. Stąd siła ich przekonywania. Znakomite tempo akcji i prostota inscenizacji to dodatkowe walory tej sztuki. Toteż w każdym akcie zrywają się na sali po kilkakroć oklaski. Widownia spontanicznie ocenia i chwali. A że wciąga również do dyskusji — najlepiej dowodzi niedawna audycja radiowa, w której na temat sztuki wypowiadali się łódzcy robotnicy. Z dyskusji tej wynika też jasno, że była to sztuka potrzebna. Wyraźny adres inscenizacji, jej celowość, perfekcyjność w podejściu do naprawdę dobrego tekstu, zapewniły jej aplauz i powodzenie.

Oto przykład krańcowo odmiennego podejścia do tekstu literackiego, liczenia się z konsekwencjami. Oby z nauką na przyszłość. Oto celowość przedsięwzięcia i zabiegu inscenizacyjnego. Tylko w ten sposób może nam zapewnić teatr pozycje ambitne i ciekawe.

Molier: „SZKOŁA ŻON", przekład: Tadeusz Boy-Żeleński, reżyseria: Kazimierz Braun, scenografia: Zdzisław Topolski.

Marek Domański: „KTOŚ NOWY", reżyseria: Roman Sykała, scenografia: Edward Grochalski.

Leon Niemczyk (Karol Kukuła) i Jadwiga Siennicka (Hanka Filipczakówna) w sztuce „Ktoś nowy".
Foto. Fr. Myszkowski

Lekarze wspominają

Znacie ów napis na nagrobku? Tu leży lekarz, cześć jego pamięci, a wokół leżą jego pacjenci. O lekarzach krąży tyle dowcipów, co o teściowych a może nawet więcej. Humoryści i satyrycy używali sobie na ich temat tak często, że z tekstów o doktorach, chorobach i leczeniu można by ułożyć potężną rozmiarami antologię. I to nie jedną. W wydanym w Szwajcarii zbiorze anegdot Sali Landmann spora ich porcja dotyczy spraw medycznych. Oto, dla przykładu, anegdota z tego popularnego na zachodzie Europy wydania. Hersch, który się niedawno ożenił, przedstawia swoją żonę znajomemu lekarzowi. Lekarz prowadzi go na bok i mówi prawie szeptem: „Panie, coś pan zrobił! Ona wygląda na osobę bardzo niezdrową. Ma żółtą cerę, jest koścista, łysieje i wydaje się, że źle u niej ze wzrokiem". Niespeszony Hersch bierze doktora pod rękę: „Może pan mówić zupełnie głośno. Ona jest także głucha".

Ale porzućmy żarty, gdyż chodzi o rzeczy poważne. Polecam Państwu nową książkę: „Pamiętniki lekarzy", wydane na schyłku ubiegłego roku, które stanowią swoistą rewelację na rynku czytelniczym. Wiemy, jaką karierę zrobiły przed wojną „Pamiętniki chłopów", „Pamiętniki emigrantów" czy „Pamiętniki bezrobotnych". Były to prawdziwe odkrycia, dość powiedzieć, że „Młode pokolenie chłopów" pod redakcją Józefa Chałasińskiego otrzymało nagrodę „Wiadomości literackich". Jakąż rewelacją dla kawiarnianych pięknoduchów musiały być te opisy ludzkiej niedoli, ludzkich pragnień, te opisy szukania dróg awansu i wyzwalania się z pęt zacofania i przesądu. Były to zarazem dokumenty czasu o wiele bardziej przejmujące i dogłębne, niż niejedno pedantyczne studium naukowe.

A w ogóle trzeba powiedzieć, że obrazu rzeczywistości coraz mniej należy szukać w powieściach, a coraz bardziej w pamiętnikach, wspomnieniach, dziennikach i reportażach. Wiek dziewiętnasty głosił postulat literatury, będącej odbiciem realnej rzeczywistości, stąd w powieściach dziewiętnastowiecznych mamy całą wiedzę o epoce i życiu społecznym. W naszych czasach literatura piękna ucieka od opisu rzeczywistego świata, w coraz większym stopniu staje się „wąsko artystyczna", zajęta własnymi problemami, niechętna próbom pokazywania życia na szeroko zakrojonym tle epickim. Dlatego też i obrazu naszej Polski powojennej nie w powieściach szukać należy, lecz w pamiętnikach. Między innymi również w „Pamiętnikach lekarzy".

Ta potężna księga (ponad 1000 stron druku) prezentuje bardzo rozległą i ciekawą panoramę czasu jako że biorą w niej udział lekarze, którzy ukończyli studia jeszcze przed pierwszą wojną światową i tacy, którzy stali się lekarzami dopiero po roku 1945. Jest to więc jakby przekrój życia, widzianego oczami lekarzy, na obszarze blisko półwiecza. Oczywiście „Pamiętniki lekarzy" zawierają jedynie wybór z bogatego plonu konkursowego, który w r. 1958 rozpisał tygodnik „Służba zdrowia". Muszę pogratulować redaktorom tego wyboru. Wszystkie zamieszczone prace są nie tylko zasobne w świetny, często zaskakujący materiał obserwacyjny, ale także sprawne pod względem literackim czyli po prostu dobrze, a niekiedy wręcz doskonale napisane.

Weźmy wspomnienia Stanisława Sterkowicza („W służbie chorego"), który ukończył studia po ostatniej wojnie i pracował kolejno w pogotowiu, w poradni rejonowej i szpitalu. Autor zaczyna swoje wspomnienia bardzo skromnie, pisząc: „Ten, kto szukać w nim (pamiętniku) będzie sensacji, zawiedzie się. Ten, kto oczekiwać będzie zajmującej powieści lub wzbudzających zaciekawienie ploteczek, oszuka się również. Nie ma tu miejsca ani na sensacje, ani na powieść". Ależ, panie doktorze Sterkowicz! Właśnie na odwrót. W pańskich wspomnieniach jest wszystko: sensacja, plotka, powieść. Roztoczył pan przed nami wspaniałą galerię profesorów z gdańskiej Akademii Medycznej. Jakież tam pyszne typy, ile barwnych indywidualności, ile humoru! Któż by nie zapamiętał profesora M. i jego przestróg, dawanych pół serio i pół żartem: „Pamiętajcie, moi drodzy, że każdy dobry uczynek musi spotkać zasłużona kara". I każdy z wykładowców odznaczał się pogodą, zamiłowaniem do swego zawodu, talentem pedagogicznym. Czytając wspomnienia Sterkowicza nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jesteśmy dziś, po śmierci wielu wybitnych profesorów, ubożsi w tak znakomite postaci. Życie uniwersyteckie zszarzało m. in. dlatego, że brak silnych indywidualności, odznaczających się w równym stopniu przygotowaniem fachowym, co i rozległością zainteresowań humanistycznych. A to właśnie wieje z kart wielu wspomnień starych i niestarych lekarzy. Alina Mierzejewska - Tomaszewska, autorka „Zapisków młodej lekarki", była pediatrą w szpitalu małego miasteczka w województwie zielonogórskim. Podbija nas już początek jej opowieści: „Zaczęło się jak w bajce o Kopciuszku. Żyłam na głuchej wsi pod Ostrołęką. Paslam gęsi, doiłam krowy, karmiłam prosięta". I znowu opis studiów, pierwsza praca, pierwsze doświadczenia, pierwsze zwycięstwa i pierwsze gorycze. Ileż w tych wspomnieniach przedstawionych utarczek z ludźmi, ile perswazji, tłumaczeń, nie kończących się zabiegów. Lekarz nie tylko leczy, lekarz prowadzi tysiące rozmów i udziela rad w najrozmaitszych sprawach. Jak wiele zależy od jego taktu, życzliwości, umiejętnego podchodzenia do ludzi.

Ale autorem najlepszego (i najobszerniejszego) wspomnienia w tomie jest z pewnością Władysław Fejkiel. Jego „Medycyna za drutami" mogłaby się ukazać w oddzielnym wydaniu i niewątpliwie znalazłaby się na liście bestsellerów. Pobyt w więzieniu a następnie w obozie oświęcimskim przedstawił Władysław Fejkiel w sposób po prostu niezwykły. A nie jest to łatwe, zważywszy, że o Oświęcimiu mamy już całą literaturę. Napisać rzecz nową na ten sam temat, nową i obfitującą w nieznane szczegóły, a także w odmienne widzenie rzeczy — tego mógł dokonać człowiek, który w niedoli ludzkiej dostrzega to, czego przeciętne oko w ogóle nie jest w stanie zauważyć. Wcale się nie dziwię, że praca ta została odznaczona drugą nagrodą na konkursie „Służby Zdrowia".

„Pamiętniki lekarzy" stawiamy na półce bibliotecznej obok wydanych dawniej wspomnień chłopów, bezrobotnych i emigrantów. Niech świadczą o losie człowieka i o czasach, które wciąż się zmieniają. Nie zawsze na gorsze.

Jan Koprowski

Półka z książkami

SZALOM ASZ PO POLSKU

Szalom Asz, który w r. 1957 zmarł w Londynie mając 77 lat, urodził się w Kutnie. Przed wojną jego powieści, przekładane na język polski, były znane i popularne. Obecny tom jest pierwszą po wojnie prezentacją twórczości Szaloma Asza w naszym kraju. Tomik niewielkiej objętości zawiera trzynaście opowiadań tego najwybitniejszego pisarza żydowskiego dwudziestego stulecia. Doskonałe przekłady Stanisława Wygodzkiego czynią z tej książki miłą i zajmującą lekturę, zwłaszcza, że Szalom Asz upodobał sobie życie „małych ludzi" i odtwarza je z wzruszającą prawdą i wnikliwością. Pełno w tych opowiadaniach szczegółów obyczajowych, w trafnie i ciekawie narysowanych sylwetkach odbija się barwny, ale i dramatyczny zarazem los człowieka. Chociaż utwory Asza pisane są w tzw. konwencji realistycznej, przepaja je swoisty liryzm i delikatna ironia, jakaś zadumka filozoficzna nad życiem ludzkim.

Należy mieć tylko żal do Wydawnictwa, że nie pomieściło bądź na początku, bądź na końcu tomu autobiografii Szaloma Asza pt. „Spojrzenie wstecz", w której opisał on, barwnie i z wdziękiem, swoje dzieciństwo w Kutnie oraz późniejsze kontakty ze Stefanem Żeromskim i Stanisławem Witkiewiczem (ojcem, oczywiście), którzy zachęcali go do pisania w języku „Jiddish". Było to tym łatwiejsze, że owa autobiografia wydrukowana została w przekładzie polskim na łamach „Twórczości" (nr 5, maj 1958). Autobiografia Asza jest dla polskiego czytelnika ważna i szczególnie cenna.

JK

Szalom Asz — „Opowiadania", przekład Stanisław Wygodzki, Warszawa, Czytelnik 1964.

PAMIĘĆ PRZECIW ZBRODNI

Jest w tej książce fragment, który uzmysłowił mi grozę czasu i miejsca, o którym czytam: Oto pewien gajowy, schwytany na ulicy i przywleczony do „Pawiaka", stojąc twarzą do ściany w oczekiwaniu na rewizję osobistą, korzystając z chwili nieuwagi oprawców, wyjmuje sprężynowy nóż, przystawia go sobie do serca i rzuca się na ścianę. Próba nie udaje się, nóż nie trafia w serce. Gajowy wyjmuje nóż z klatki piersiowej, celuje bardziej precyzyjnie i powtarza zamach, na skutek którego następuje okaleczenie serca i ciężka choroba, która ratuje więźnia od tortur, na pewien okres czasu.

Więźniowie „Pawiaka" piszą o wszystkim, o mękach których doznali, o torturach którymi zadręczano ich współtowarzyszy, o pomocy z jaką przychodzili sobie nawzajem i o zorganizowanym tu ruchu oporu. Niełatwą rzeczą było w warunkach strasznego terroru w więzieniu hitlerowskim walczyć o godność własną i współtowarzyszy, niełatwo było nieść pomoc. A jednak w tych strasznych warunkach, lekarze walczą o uratowanie czyjegoś życia, podają środki, dzięki którym więzień sprawia wrażenie ciężko chorego, co chroni go przed torturami badań w kaźniach gestapo.

Ruch oporu zbiera dane; ostrzega z więzienia tych, którzy zostali tam, na wolności, a którym grozi aresztowanie z powodu „wsypy", jeśli który z torturowanych nie wytrzymał i wydał towarzysza z ruchu oporu, czy „współwinnego" działającego przeciw zbrodniczej Rzeszy.

To okrutna książka, przywołująca na pamięć jeszcze raz wszystkie okropności wojny, napawa jednak optymizmem, mówi nam o tym, że człowiek poddany najcięższej próbie, potrafi walczyć o swoje człowieczeństwo, że nic nie jest w stanie złamać go, że potrafi on trwać do najstraszliwszego końca, że potrafi walczyć w każdych warunkach. Jest to lektura, zarówno dla starszych, tych którzy pamiętają i tych, którzy dowiedzą się z tych pamiętników po raz pierwszy o czasach grozy, o czasie już historycznym. Jest to lektura także dla tych i przede wszystkim dla tych, którzy chcieliby gdzieś tam zapomnieć o zbrodniach i wybaczyć je winnym. Ale przeciw nim będzie zawsze pamięć, pamięć jeśli nie w umysłach tych, którzy doznali, to na kartach tej książki, pamięć przeciw zbrodni.

JHW

Praca zbiorowa „Wspomnienia więźniów Pawiaka", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1964, cena 44 zł.

Zawadiacka awantura

LECH PIJANOWSKI

Jedną z bardzo popularnych maskotek, przywożonych w prezencie z Moskwy, jest charakterystyczna rosyjska „babuszka" – drewniana figurka, w której wnętrzu znajduje się druga figurka, mniejsza, w niej trzecia, jeszcze mniejsza, w niej czwarta, malutka, w niej piąta, maciupeńka... Liczyć tak można by długo – widywałem już i osiem figurek jedna w drugiej.

„Babuszka" taka jest znakomita ilustracją konstrukcji filmu „Rękopis znaleziony w Saragossie"; jest to bowiem historia, w której jedni drugim opowiadają tak wiele rożnych historii, że gdy w pewnym momencie projekcji postanowiłem zorientować się, we wnętrzu której historii właściwie jesteśmy, doliczyłem się siódmej... uff!...

Konstrukcja filmu reżysera Wojciecha Hasa jest więc wyraźnie zabawowa – nikt przecież w czasie oglądania filmu nie będzie sporządzał ścisłych wykresów, ilustrujących, jak przemyślnie przeplatają się wątki opowieści, wszyscy się pewnie zgubią w konstrukcji awanturniczo-przygodowej fabuły – i dobrze, nie szkodzi.

Pierwszy polski film „płaszcza i szpady", romans przygodowy, trwa przeszło trzy godziny; jest to struktura nie tylko zawiła, lecz i niejako monumentalna: dziesiątki dekoracji, tysiące rekwizytów, setki kostiumów, w czołówce filmu – sto trzy nazwiska (liczyłem!). W „Rękopisie" grają jeśli nie wszyscy, to w każdym razie sprawiająca to wrażenie większość aktorów polskich w setkach ról. Jest – z płci pięknej – Beata Tyszkiewicz, Elżbieta Czyżewska, Barbara Krafftówna, Pola Raksa, Joanna Jędryka, Iga Cembrzyńska i wiele innych; w głównej roli męskiej Zbigniew Cybulski, w rolach większych, mniejszych i epizodycznych Kazimierz Opaliński, Sławomir Lindner, Aleksander Fogiel, Franciszek Pieczka, Ludwik Benoit, August Kowalczyk, Adam Pawlikowski, Gustaw Holoubek, Leon Niemczyk, Krzysztof Litwin, Feliks Chmurkowski, Bogumił Kobiela, Edmund Fetting, Janusz Kłosiński, Zdzisław Maklakiewicz... Chyba nie więcej, niż połowę tylko zapamiętałem, nie piszę przecież książki telefonicznej (nie byłoby w niej zresztą, a są w filmie, żywy sęp, pyton i cztery muły) – chcę film, jak to się mówi, zrecenzować.

Reżyser Wojciech Has mówił z okazji i w trakcie realizacji filmu: „Jest to po prostu szkoła życia, przekrój społeczeństwa aktualny w XVIII wieku i dziś. Bohater ma zacząć myśleć i walka toczy się o to, jak będzie myślał... Porwał nas ten piękny, laicki manifest ducha, wyzwolonego z więzów dogmatu..."

Są to wzniosłe i cenne słowa; szczęśliwie nie mają nic wspólnego z filmem, z jego konwencją i istotą. Ani to „przekrój społeczeństwa", ani „szkoła życia", ani „manifest laicki", nic z tych rzeczy – feeria przygód, które dzieją się w wymyślonych, a w każdym razie w umownych krajach, lawina zabawy w dobrym guście, zrealizowanej zgrabnie, sprawnie, „z biglem". Nie podoba mi się przyszywanie na siłę do „Rękopisu" wielkich słów, których w nim znaleźć nie sposób.

Powieść Potockiego kiedyś tam (oj, dawno!) z pewnością miała pewne walory laickości, libertynizmu nawet, oświecenia – powieść powstała jednak przeszło sto pięćdziesiąt lat temu i te walory stępiły się, zwietrzały z niej niemal doszczętnie. W filmie nie pozostało z nich śladu – błyskotliwa forma, splątana akcja, śmieszna fabuła przykryły bez reszty szczątki filozofii Potockiego. Nie pomaga nawet Holoubek, któremu w udziale przypadają najbardziej ważkie kwestie dialogu: co by nie oświadczał reżyser, jesteśmy świadkami cyklu zwariowanych przygód i niczego więcej. Nie ma też potrzeby, aby coś więcej było; o dobrą zabawę dziś niełatwo, zawsze chętnie biorę w niej udział i wcale nie uważam za wstydliwe przyznawać się do tego.

Podobnych filmów powstaje na świecie bardzo wiele; na ich tle „Rękopis" wyróżnia się zdecydowanie i korzystnie dwiema cechami: nie jest filmem tandetnym i zrealizowany został w trafnej, bardzo trafiającej (jak myślę) do współczesnych widzów konwencji „z okiem".

Obydwie te cechy pozytywne rozumiem szeroko. Przeciwieństwem filmowej tandety jest nie tylko wszechstronna solidność realizacji „Rękopisu" (w reżyserii, aktorstwie, dekoracjach, rekwizytach), lecz także „gęstość" filmu: przygód, anegdot, figur, opowieści, jest w nim obfitość; można by tym obdzielić dwa takie filmy i też nie byłyby w fabułę skąpe. Konwencja „z okiem" obdarza zawiłości fabuły dodatkowym wdziękiem (ten nieszczęsny bankier, od którego nikt nie chce przyjąć dwu milionów talarów i on nad tym straszliwie boleje; ta zalotna Frasquita, opętana na punkcie męskości; ta straszliwa gospoda z wisielcami, z której kapitan gwardii walońskiej dziesiątki razy ucieka i wciąż się tam znów znajduje...!)

Figury filmowej opowieści wskutek takiej konwencji stają się nieco kukiełkowate, ze wszystkimi pozytywnymi atrybutami kukiełek: ujawnia się wiele zabawnych możliwości w grze dobrych aktorów, którzy biorąc udział w bawieniu innych,

FILM

sami, jak się wydaje, nieźle się bawią... Nad wszystkim unosi się sentyment do dawnych opowieści przygodowych w zeszytach, typu „Rinaldo Rinaldiniego", uszlachetnionych powagą i rozmachem warsztatu, wizualnością literackiej fikcji...

Wojciecha Hasa przyjęło się traktować jako reżysera-specjalistę od kameralnych spraw psychologicznych. W „Rękopisie" ujawnił drugą, wcale nie mniej ważną stronę swego talentu: przewrotność poczucia humoru. A to, co było najważniejsze w dotychczasowych, w większości istotnie kameralno-psychologicznych filmach tego reżysera – atmosfera – pozostało i w „Rękopisie": przy całej swej zawiłości fabularnej, tempie akcji, ilości postaci, jest to film obdarzony niespodziewaną niejako w tym towarzystwie cechą: znaczną dozą eleganckiej poezji, w dobrym guście. Jest coś autentycznie romantycznego w rozmachu opowiadania, w wielości i wielostronności jego figur, w podejściu twórców do tego fikcyjnego, zabawnego, a naprawdę dla nich ważnego światka, co przekonuje do niego i widzów.

Sądzę, że „Rękopis" będzie się na naszych ekranach cieszył nie tylko powodzeniem, lecz i czymś więcej, co jest udziałem niezbyt wielu filmów: długim życiem w kinach. Pojawiał się będzie to tu, to tam, wznawiany po roku, po dwu i po pięciu latach ze stałym sukcesem – jego walory rzetelnej rozrywki są bowiem uniwersalne, stale potrzebne. Miło, że udał się taki film, właśnie polski.

Z historii obyczaju

JAK ONGI PAPIEROSY PALONO

WŁADYSŁAW ANDRZEJ KEMPA

FAJKA, CYGARO I PAPIEROS NAKAZEM ROMANTYCZNEJ MODY

Kiedy spojrzymy za kulisy epoki romantyzmu przekonamy się, że wszystko tam tonęło w kłębach fajczanego dymu. Wzgardzono pozostawioną przez antenatów w spadku tabaką, tabakierę kosztowną precz wyrzucono do lamusa, zaczęto napełniać bogato haftowane kapciuchy tytoniem. Rozpoczęła się zwycięska inwazja lulki czyli fajki, cygara, papierosa.

NAWET MARYLA...

Tytoń wówczas palili wszyscy, bo taki był nakaz mody. Nie rozstawał się z nieodstępną fajeczką mickiewiczowski major Płut, lulkę ćmiła nawet Maryla Wereszczakówna, oczywiście ukradkiem w bolciennickim parku. Jeden chyba Czeczot odmawiał sobie tej przyjemności, bo wielce zmartwiony delikatnie strofował Marylę: „Ale, że pani lulkę dla rozmaitości pali, przeciwko której tyle tu mówiła, i myślałem, że do mojej partii należy, tego winszować nie mogę. Tak bowiem uprzejmy, dla mojej wiary stracony apostoł zapowiada wielkie w swoim nawracaniu na drogę zbawienia szkody. Może więc dla rozmaitości co innego można wybrać zamiast fajki?" Już wiemy, Maryla wybrała grafa Puttkamera, a czy wierną lulce i później została, o tym historia nie powiada.

ZYGMUŚ KRASIŃSKI TAKŻE...

Tymczasem w zakamarkach pałacowych Zygmunt Krasiński zaciągał się tytoniowym dymem drżąc przed gniewem ojca generała. Wreszcie tajemnica się wydała, rozsierdził się więc pan Wincenty okrutnie na synalka, ale widząc jak silna była namiętność zmiękł stary wojak i wydał ojcowskie przyzwolenie na jawne oddawanie się syna nałogowi. Jakież było zdziwienie Konstantego Gaszyńskiego, kiedy odwiedziwszy razu jednego Zygmunta, ujrzał go siedzącego przy kominku i kurzącego fajkę. „Jak to? Nie boisz się ojca?" — spytał. „Nie boję się, ojciec pozwolił!" — odparł syn generała. Wówczas Gaszyński chwycił zwęgloną drzazgę i napisał na kominku: „Żyj ero fajkowa!"

CEREMONIAŁ PALENIA

Z konieczności trzeba palić fajkę w czterech ścianach zamkniętego pomieszczenia, a więc w salonie i kawiarni, nazywanej czasem złośliwie „fajczarnią". Palenie wymaga odpowiedniego nastroju i połączone jest ze specjalnym ceremoniałem. A zatem trzeba wziąć długą antypkę z bursztynowym mundsztukiem. Antypka zakończona jest małą glinianą stambułką, którą należy napełnić aromatycznym diubekiem. Wreszcie wypada, rozsiadłszy się wygodnie w fotelu, przytknąć płonący fidybus do tytoniu i wdychać z lubością wonny dym. Potem oddawać się błogiemu lenistwu lub pisaniu wierszyków, ot choćby takich jak ten: „Słodka rozrywko w cichym pokoiku, Kochana fajko, tlący się piecyku". Są i oponenci, wskazujący na szkodliwość palenia, damy wytworne zatykają zgrabne noski, kiedy pojawia się ta „ohydna rura z piecykiem na końcu".

RÓŻNICA ZDAŃ I POGLĄDÓW

W drukarni imć pana Rafała Jabłońskiego A.D. 1827 kończą właśnie druk broszury, w przedmowie do której czytamy, korzystając z nieuwagi typografa: „Niejeden człowiek ciemny i prosty, może by się chwycił rzemiosła szkodliwego, gdyby przyzwyczajenie do strawienia kilku godzin z lulką w ręku nie odbierało mu chęci i skrzętnego szukania zatrudnień niegodziwszych i hańbiących". Ktoś inny natomiast ze zgrozą i zgorszeniem spogląda na najmłodsze pokolenie i notuje skwapliwie: „To najgorsze, że ten obrzydliwy nałóg przeszedł już w używanie aż do małych chłopców, nietrudno zobaczyć 13-letniego świniopasa, jak, stąpając poważnie z fajką w gębie, ma się za coś lepszego od swych rówieśników, a że chęć naśladowania prędko się zatliwa, a więc też i reszta pauprów małych, nie mając na kawałek chleba, woli kupić sobie fajkę choćby glinianą, tabaki za parę groszy, aby tej mniemanej godności dostąpić i do cechu tabakowego się wpisać".

W kawiarni rzędem stoją cybuchy, każdy może za drobną opłatą wypożyczyć fajkę i ćmić dowoli. Opowiadają z podziwem, że w wiedeńskiej gospodzie „Zur grossen Tabakpfeife" widziano osobliwą fajkę sporządzoną z ogromnych rogów jelenich. Waży ta fajka podobno 138 kilogramów, ma zaś 11 otworów, w których tkwią długie, giętkie rury do ciągnięcia aromatycznego dymu. Fajka ta zawieszona jest na grubych łańcuchach u stropu, a wkoło siedzą codzienni goście i zwabieni nowością turyści.

ZWYCIĘSTWO NA PRZEKÓR PRZECIWNOŚCIOM

Już się dym snuje nie tylko w salonach i kawiarniach. Powoli zaczyna palacz opuszczać progi domostw, zrazu dyskretnie i nieśmiało, aby nie dostrzegł strażnik miejski. Jeszcze bowiem do r. 1837 obowiązywało w Galicji zarządzenie magistratu c.k. miasta Wiednia zabraniające palenia tytoniu na ulicach i placach z uwagi na przyzwoitość publiczną i niebezpieczeństwo pożaru. Niewczesne wyjście na ulicę z zapaloną fajką przypłacił Maurycy Mochnacki zamknięciem na odwachu. Aż wreszcie ominięto zakazy policyjne, bo właśnie pojawiło się cygaro z liści tytoniu niezgrabnie ukręcone i osadzone w krótkiej fajeczce. „Żaden panicz, syn szlachecki, nie wyjdzie na ulicę bez cygara, i byłoby to w złym tonie, gdyby szedł nie owinięty w kłąb dymu". Nawet Krasiński na bulwarach paryskich, nawet Słowacki, błądząc po ruinach Pompei, a Chłopicki po krętych krakowskich uliczkach, wszyscy zawzięcie kurzą cygara. Ambroży Grabowski, księgarz i obywatel miasta Krakowa, tak w swej alkowie pisał gęsim piórem umoczonym w czarnym inkauście: „już małe paupry, wszyscy studenci, kupczyki, rzemieślniczkowie, służebne fagasy i wszelka niższa hałastra nie obejdzie się bez cygara, które sterczy z każdego lokaja gęby, pomimo że ten na kupno chustki do nosa zdobyć się nie może, a posługę jej zastępuje mu poła sukni lub jej podszewka".

WSZYSCY PALĄ

Karykatury z takim podpisem krążą w kołach towarzyskich, przeciwnicy walczą orężem satyry i trzeźwością naukowych sądów, podkreślających szkodliwość nałogu. Zaczynają palić kobiety, najpierw lękliwie, w zamkniętych buduarach, potem na zebraniach niewieścich, wreszcie jawnie, ośmielone milczącą aprobatą palaczy — mężczyzn, którzy z zadowoleniem powitali zwiększenie się liczby zwolenników tlącego się tytoniu. Pyka sobie cygaro George Sand, a u nas Narcyza Żmichowska i warszawskie entuzjastki. To jeszcze jeden objaw emancypacji, więc włosy obcięte krótko, spodnie, męski cylinderek i cygaro w ustach, dawniej do pocałunku tylko stworzonych.

Potem zaś nadszedł nowy wynalazek wieku wynalazków — papieros. To są czasy nam bliższe i lepiej znane, więc wrócić nam czas z przechadzki po minionej epoce owianego dymem lulki i cygara Romantyzmu do spraw dnia dzisiejszego. Przedtem jednak przeczytać warto zapomniany dokument poetycki tamtej epoki, wiersz poświęcony pochwale dobrodziejstw fajki:

Ów urzędów, tamten złota,
chcąc dostąpić daje bale,
i kupuje w worze kota,
ja się śmiejąc fajkę palę.

Ów w miłosnym chcąc zawodzie,
szczęście swe urządzić stale,
ledwie ruszył, siadł na lodzie,
a ja wesół fajkę palę.

Gdy więc losów zwodne łaski
przeznaczenia dają skale,
ja nie zważam na ich blaski,
kiedy moją fajkę palę.

Rys. V. Kubal

KRYSTYNA WOJTASIK

TRZY PREMIERY TEATRU NOWEGO

Są to: „Pastorałka", „Radosne dni", „Drewniana miska". Czyli, używając popularnego zwrotu, obfita porcja teatru i do tego zróżnicowana. Widowisko ludowo-staropolskie i teatr zachodniej awangardy, „Pastorałka" i Becket uzupełnione realizmem psychologicznym (jak podaje program do „Drewnianej miski"). Na pozór nic tych sztuk ze sobą nie łączy, każda pochodzi z innego świata pojęć i odczuwania życia. Każda prezentuje inny gatunek dramatyczny. A jednak istnieje jakaś nić, a nawet jest ich więcej, która je ze sobą wiąże, świadcząc o koncentracji na pewnych problemach zarówno autorów jak i teatru, (w tym wypadku może nawet mimowolnej) który te sztuki wystawia.

I.

„PASTORAŁKA" Leona Schillera narodziła się, jak on sam podaje, z zainteresowań „muzykologiczno - ludoznawczych" i stanowi udramatyzowaną kompozycję obrzędów ludowych związanych z Bożym Narodzeniem. Teksty — autentyki wywodzące się z regionu krakowskiego, rodzinnego regionu Schillera i z krakowskiej szopki, sięgają swym trzonem epoki renesansu, kiedy to misteria zatraciły ostatecznie swój kościelny charakter i stały się świeckim teatrem plebejskim, choć operującym tematyką religijną. Jak podaje Julian Lewański w „Pamiętniku Teatralnym", poświęconym pamięci Schillera, owych tekstów — autentyków dostarczył jednak Schillerowi przede wszystkim wiek XVII oraz XVIII-wieczne kolędy. Chorały, śpiewane przez aniołów datują się dokładnie z roku 1635.

Postarał się Schiller owym dziewięciu „sprawom" dziejącym się w „Pastorałce" — rozpoczętym „grzechem" Adama i Ewy (Zbigniew Józefowicz i Barbara Nikielska) a zakończonym śmiercią Heroda (Janusz Kłosiński) — przydać uroku polskości, przede wszystkim poprzez muzykę i zaakcentowanie krakowsko - podhalańskiego folkloru oraz, opierając się zresztą także na autentykach, wymowę społeczną. Szlachcic, zażywna karczmarka nie przyjmują w dom Josepha i Marii, zbiedzonych szukaniem dachu nad głową w tę zimową, śnieżną noc. Uczyni to dopiero chłop — nędzarz ofiarowując, w braku miejsca w przeludnionej izbie, stajenkę. Również najskromniejsze dary otrzyma Dzieciątko od pasterzy.

Ci pasterze, juhasi, wiejskie parobki, wnoszą w podniosły nastrój misterium element nieodpartego komizmu. Oni przede wszystkim, w przezabawnym i precyzyjnym wykonaniu grupy aktorów Teatru Nowego (więc przede wszystkim Stanisław Łapiński, a także Ryszard Dembiński, Janusz Kubicki, Eugeniusz Kamiński i Zbigniew Józefowicz) wnoszą na scenę ów „zapach wiejskiego chleba", którego domagał się Schiller przy inscenizacji „Pastorałki", zakładając, że zawodowi aktorzy powinni przeistoczyć się tu w pierwotnych wykonawców tych ról — kolędników.

Spośród wielkiej mnogości fragmentów, epizodów i ról wyłowić należy ów moment, kiedy Wanda Chwiałkowska jako Maria wodzi niespokojnym wzrokiem za (nie istniejącym) Dzieciątkiem, unoszonym i kołysanym przez Anioła. Wreszcie, kiedy sama ogarnia je ramionami, jej trwoga przemienia się w uśmiech pełen miłości. Przypuszczalnie równa tu zasługa aktorki, jak i reżysera, w owym wzruszeniu, jakiego doświadcza widz.

A reżyser jest młody. „Pastorałka" stanowi pracę warsztatową Jana Skotnickiego. I należy tu wyrazić uznanie dla jego wyczucia teatralności, umiejętnego kształtowania scen zbiorowych oraz dla starań, by woń wiejskiego chleba była jak najbardziej wyczuwalna. Materiał miał trudny, wymagający wiele reżyserskiej inwencji, nie posiadający dużej tradycji inscenizacyjnej, a więc i doświadczeń oraz — niekonwencjonalny.

Bo druga przyczyna narodzin „Pastorałki" była chęć odkonwencjonalizowania teatru. „Dosyć osamotniony na drodze do reformy teatru konwencjonalnego — pisze Leon Schiller — musiałem przyjąć metodę posuwania się naprzód etapami. Wynikł stąd przymus... cofnięcia się i odrobienia rzeczy jeszcze niezrealizowanych, a dla dalszego rozwoju koniecznych (stylizacja „starego teatru", inscenizacja widowisk nierealistycznych, abstrakcjonizm inscenizacyjny). Z tego właśnie okresu pochodzi „Pastorałka"...

„Pastorałka", widowisko, które kończy się triumfem Śmierci (Ewa Zdzieszyńska), prawdziwej władczyni tego świata, zasiadającej na tronie Heroda.

II.

Śmierć, która jest życiem i całkowite rozbicie konwencji teatralnej zwane także anty-teatrem, to treść i forma **„Radosnych dni"** Samuela Becketta. (Z tym, że wywodząca się ze średniowiecza alegoria śmierci — szkielet z kosą, stała się tu alegorycznym końcem piasku, alegorią bardziej skomplikowaną i bardziej przerażającą przez swą dwuznaczność czy raczej dwoistość a odkonwencjonalizowanie teatru tradycyjnego sięgnęło granic ostatecznych poprzez zniweczenie fabuły, konfliktu, punktu kulminacyjnego).

A więc życie jest śmiercią, mówi Beckett, każdy dzień, choćbyśmy go nazwali radosnym, w co zresztą nie wierzymy nawiewa na nasz kopiec nowe ziarna piasku z pustyni, która jest światem. Człowiek rodzi się, aby umrzeć. Po cóż się więc rodzi? Oto bezsens istnienia. Absurd istnienia. Oto teatr absurdu, którego jedynym celem jest ten absurd wykazać, a podstawowym założeniem jest brak logiki. Stanowi ono konsekwencję pojmowania świata, jako alogicznego. Gdyż życie jest umieraniem, a człowiek jest mały, bezradny i bezbronny. Samym istnieniem skazany na śmierć. Posiadając świadomość bezsensu istnienia potrafi jedynie bronić się, okłamywać, codziennością. Dlatego Winnie, myje zęby, czesze się, przegląda w lusterku, wkłada i zdejmuje kapelusz, bardzo wytworny kapelusz, ale wciąż wie, że wie. I przywołuje, wciąż przywołuje swego mężczyznę, drugiego człowieka, który jej nie słyszy, lub słyszeć nie chce lub udaje, że nie słyszy, ponieważ każdy z nas zawsze pozostaje samotny. Więc Winnie, coraz głębiej zanurzona w swoim kopcu, czyli coraz starsza, toczy samotną walkę przegraną w chwili rozpoczęcia i niezależnie od tego co uczyni. A uczynić może tylko jedno — bo tylko to jedno ma do wyboru: przegrać zaraz lub przegrywać nadal. Może tu jednak dokonać aktu woli i dlatego pieszczotliwie gładzi browning. Po niego to właśnie w końcowej scenie sięgnie Willie, jej mężczyzna aby osunąć się jednak na czworakach do stóp piaskowej wydmy i tak trwać. A może nie chciał zabić siebie ani Winnie, a tylko zbliżyć swą twarz do jej twarzy? Ale kurtyna opada.

Teatr absurdu pomniejsza więc człowieka i to rodzi bunt. A sprzeciw zawiera już w sobie nadzieję, która staje się pewnością, że nawet w epoce atomu istnieją jakieś wartości, (czyli jakaś obrona, poza codziennymi czynnościami) dla których warto żyć, choć życie jest umieraniem. Bezsens istnienia pozostając bezsensem nabiera jednak w ten sposób sensu, który staje się koniecznością, imperatywem. Ale to już musi dopowiedzieć sobie każdy z widzów teatru absurdu. Bowiem słabością tego teatru, która jednocześnie stanowi o sile jego wyrazu, jest, że nie mówi on jak żyć umierając.

Anty-dramat wymaga nie lada aktorów. Bohdana Majda jako Winnie jest znakomita i znakomity jest Tadeusz Minc, jako Willie. Jako reżyser wykazał bezbłędne wyczucie i zrozumienie tego gatunku teatru. Tak jak i scenograf — Henri Poulain. Trio godne autora.

III.

„DREWNIANA MISKA" Morrisa traktuje o ludzkiej samotności. Także. Każdy człowiek jest sam, tylko każdy ma swój rodzaj samotności. Najboleśniejsza jest ta starcza, gdyż pozbawiona nadziei. Gdyż ze starością sąsiaduje śmierć, a wszystko, co było w życiu, przybrało już kształt ostateczny. Poza tym człowiek stary jest niepotrzebny.

Lon Dennison jest niepotrzebny w domu syna, przeszkadza, niedołężnymi rękami tłucze wazony i talerze, więc dają mu jeść na drewnianej misce, czym czuje się upokorzony. Jest irytujący. W nocy kaszle, więc trzeba niedołężny, jak teraz? Klara widzi w starcu przyczynę niepowodzenia w swym małżeństwie i to jest tylko w części słuszne. Klara w ogóle nie mieści się w ubogich ścianach domu Dennisonów. W swoich pragnieniach, miłości, użyciu, swobody, przerasta ramy tego domu i otaczających ją mężczyzn. To kobieta o bujnej urodzie i takimże temperamencie (zarówno w propozycji autora jak i w wyrazistym podaniu Hanny Bedryńskiej), buntująca się nieustannie przeciwko miałkiej codzienności. I oszukuje sama siebie, kiedy za ową codzienność wini starca i skupia na nim swoją nienawiść do rzeczywistości. Dlatego nie bardzo wierzymy, że kiedy wyprawi wreszcie teścia do domu starców, stanie się „kobietą" swego męża. Zwycięstwo Klary jest dla wszystkich bolesne, a przy tym pozorne. Może lepiej by zrobiła, gdyby odeszła, choćby na pewien czas, zapominając o swym egoistycznym pragnieniu szczęścia czy odmiany, nawet o córce, którą pozostawia. Czy sytuacja rozwinęłaby się podobnie, gdyby Klara była bardziej potulnym gatunkiem kobiety lub gdyby starzec, miast wciąż wymagać od niej posług (tradycje obyczajowe obciążające kobietę), pomógł jej wykonywać niektóre gospodarskie czynności? Czyż nie zawinił tu trochę i sam Lon, pogrążony w nieróbstwie i rozmamiętywaniu swej krzywdy i ów wspomniany w nawiasie obyczaj? Możliwe, że tego rodzaju obrazoburcze przypuszczenia budzi zwalista postać Ludwika Benoit. Gdyż Lon ma swoją nieodpartą rację: jest stary i należy mu się miłość tych których zrodził, utrzymywał, wychowywał i kochał.

Trzeci akt sztuki starał się autor uczynić najmocniejszym, mówiąc w nim właśnie najbardziej bezpośrednio o tych sprawach i gromadząc w nim sporo melodramatycznych momentów. W pełni jednak nie zdołał przekonać. Relacje między postaciami mogą być płynne i nie należy brać ich zbyt dosłownie. Należy raczej wyłuskać spomiędzy nich i odczuć nastrój owego bolesnego zapomnienia, który zbyt często staje się udziałem starości.

Dobry zespół aktorski pomoże nam w tym na pewno.

P.S. Program sugeruje czas dziania się sztuki po II wojnie światowej. Ale czy w tym wypadku drewniana miska nie byłaby miską plastikową?

Wojciech Pilarski, Ewa Zdzieszyńska, Urszula Modrzyńska, Ludwik Benoit i Zygmunt Zintel w sztuce pt. „DREWNIANA MISKA"

TEATR NOWY (Duża Sala) — „PASTORAŁKA" Leona Schillera. Reżyseria-Jan Skotnicki, scenografia — Józef Rachwalski, muzyka — Jan Maklakiewicz, instrumentacja — Władysław Kabalewski, chorcografia — Jadwiga Hryniewiecka, przygotowanie muzyczne — prof. Kazimierz Dębski i Anna Płoszaj.

TEATR NOWY (Mała Sala): „RADOSNE DNI" Samuela Becketta, tłumaczenie: Mary i Adam Tarnowie. Reżyseria — Tadeusz Minc, scenografia — Henri Poulain.

TEATR NOWY (Mała Sala): „DREWNIANA MISKA" Edmunda Morrisa w tłumaczeniu Andrzeja Nowickiego i Krystyny Tarnowskiej. Reżyseria — Wojciech Pilarski, Jan Zdrojewski, scenografia — Iwona Zaborowska, opracowanie muzyczne — Anna Płoszaj.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

25 stycznia TV pokazała nam znów spektakl o dużym ładunku intelektualnym i artystycznym. Myślę o „Śmierci gubernatora" Leona Kruczkowskiego. Wprawdzie nasuwają się zastrzeżenia co do tego, jak daleko sięgają uprawnienia reżysera do obróbki utworu i skrótów. W omawianym wypadku z trzech aktów spreparowano jeden. Ale trzeba bezstronnie przyznać, że skróty tym razem wyszły sztuce na dobre. Role główne kreowali Jan Kreczmar i Adam Hanuszkiewicz, który też adaptował i reżyserował „Śmierć gubernatora".

WTOREK

W Ośrodku Propagandy Sztuki w parku im. Sienkiewicza została otworzona pośmiertnie wystawa prac malarskich Zygmunta Zagańczyka, samouka, właściciela warsztatu pozłotniczego i pracowni ram. Zagańczyk zabrał się do malarstwa dopiero, gdy już zbliżał się do czterdziestki. Rzucił wówczas wszystko i oddał się swemu powołaniu osiągając wybitne rezultaty. Obok interesujących autoportretów, martwej natury i kompozycji dekoracyjnych zadziwia oryginalny pejzaż łódzki Zagańczyka. Artysta nie był z urodzenia łodzianinem, przybył do miasta proletariuszy w latach dwudziestych, a jednak „przeżył" i zrozumiał Łódź. Moje osobiste zwierzenia: żadne pejzaże łódzkie nie przemówiły do mnie tak silnie, jak pejzaże Zagańczyka, pełne wyrazu i surowej prawdy o tym mieście.

ŚRODA

Na ogólnopolskim konkursie w dziale wiersza „Nasze dwudziestolecie" pierwszą nagrodę otrzymał poeta łódzki Mieczysław Szargan, drugą — Andrzej Waśkiewicz z Zielonej Góry, trzecią — Wiesław Sadurski z Warszawy. W skład jury wchodzili między innymi Julian Rogoziński (przewodniczący) oraz Artur Międzyrzecki i Piotr Kuncewicz.

CZWARTEK

Przybyła nam w Łodzi jeszcze jedna scena, zorganizowana przez Pałac Młodzieży, Scena Poetycka, na której odbyła się premiera poematu „Beniowskiego". Poemat Słowackiego adaptował i reżyserował Wiesław Szczotkowski. Pomysł okazał się szczęśliwy. „Beniowski" posiada wiele fragmentów nadających się na deski sceniczne. Abstrahując od premierowych niedociągnięć w wykonaniu, giętki wiersz brzmiał czysto w interpretacji Gamskiego, Niemczyka, Poli Raksy, Maliklewiczówny, Mazanka, Alicji Knast, Sabary, Sobiesiaka i Wiernka. Zręczna reżyseria i wspaniała scenografia Henri Poulaina podniosły rangę widowiska do rzędu wydarzenia teatralnego.

PIĄTEK

Filharmonia Łódzka na XX koncercie symfonicznym przedstawiła operę genialnego Glucka „Orfeusz i Eurydyka". Prapremiera tego muzycznego arcydzieła odbyła się w Wiedniu w 1762 r., zaś w Polsce w 1776 roku. Chwalebny zamysł Filharmonii uświetnili znakomici wykonawcy: soliści Krystyna Szostek-Radkowa, której mezzo-sopran, związaszcza w pięknej arii „Straciłem Eurydykę", zabrzmiał z przejmującą siłą, Zofia Stachurska i Lidia Skowron. Słynne solo fletowe wykonał Sławomir Popiński. Orkiestra pod dyrekcją Stefana Marczyka walnie przyczyniła się do sukcesu artystycznego Filharmonii. Natomiast nie dopisały chóry, zbyt głośne, chwilami krzykliwe (może zbyt liczny zespół) wyłamujące się ze stylu tej pięknej, ściszonej i przepełnionej melancholią opery.

SOBOTA

Słowacki panuje niepodzielnie, na scenie i na ekranie. W jednym tygodniu „Beniowski" na scenie Pałacu Młodzieży i „Fantazy" w TV. Wyreżyserowany przez Aniczaka spektakl telewizyjny uwydatnił założenia ideowe i artystyczne dramatu: pseudoromantyzm i jako kontrast — autentyczne przeżycia romantyczne, które weszły do naszej tradycji narodowej. Spośród świetnej ekipy aktorskiej wyróżnili się Gogolewski w roli Jana, Strachocki w roli Majora, Igor Śmiałowski jako Rzecznicki oraz Mazurkiewicz w roli hrabiny Idalii. Natomiast Holoubek chyba przerysował tym razem trochę Fantazego.

NIEDZIELA

Panie Redaktorze, już od dawna dochodziły mnie słuchy, skargi i głosy oburzenia z powodu zaprzepaszczenia przez trwający mieszczącymi remont ważnej pozycji obyczajowej i reprezentacyjnej, jaką była dla miasta popularna „Grandka". Każde miasto ma swoje „osobliwości" i kąciki, ciekawostki, i pamiątki, tylko Łódź jakoś nie lubi albo nie umie uszanować tradycji. Dawna „Grandka" była reprezentacyjna i miała sale o wyglądzie, którego nie mieliśmy powodu wstydzić się przed cudzoziemcami, mieszkającymi w Grand Hotelu i schodzącymi do kawiarni na kawę. I oto co po wielomiesięcznym remoncie zrobiono z „Grandką"? Zaniepokojony skargami i narzekaniami poszedłem przekonać się naocznie i — zdębiałem. Nie wiedziałem, czy jestem w kawiarni przy głównej ulicy drugiego co do wielkości miasta, czy w restauracji kolejowej na stacji w Koluszkach? Panie Redaktorze, każdy literat czy plastyk, czy filmowiec ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za dzieło, które „sknocił". Dlaczego panowie architekci są wyłączeni z tej reguły? Dlaczego nie znamy nazwiska projektanta czy architekta-budowniczego, który remontował kawiarnię? Dlaczego nie wiemy, któremu Zjednoczeniu Remontowemu zabrakło pieniędzy na zaangażowanie zdolnego dekoratora. Dlaczego nie wiemy, kto odpowiada za zubożenie naszego miasta nie odznaczającego się nadmierną liczbą kulturalnie urządzonych kawiarni? Patrioci łódzcy z Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, dlaczego milczycie? Dlaczego nie uderzacie na alarm?

ARYSTARCH

*PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

RAY BRADBURY

Rdza

— Proszę usiąść — powiedział pułkownik.

— Dziękuję — młody sierżant usiadł.

— Mówiono mi o was — pułkownik uśmiechnął się przyjaźnie. — Podobno jesteście bardzo nerwowi i nic się wam nie udaje. Właśnie dlatego postanowiłem z wami porozmawiać. Może zmiana miejsca pracy wpłynie dodatnio na samopoczucie. Czy nie chcielibyście wyjechać za ocean do innego okręgu wojskowego? Sądzę, że praca w kancelarii już się wam znudziła. A może chcecie na front?

— Nie.

— Więc o co chodzi?

Sierżant wzruszył ramionami i spojrzał na swoje ręce.

— Chciałbym, żeby więcej nie było wojny. Bardzo bym się ucieszył, gdyby armaty całego świata zamieniły się w rdzę, by bakterie umieszczone w bombach zostały zniszczone, a czołgi zapadły się pod ziemię i jak prehistoryczne stwory — pozostały tam. Oto czego pragnę.

— Myślę, że wszyscy by tego chcieli — pułkownik przyglądał mu się uważnie. — Niestety, są to pragnienia nieziszczalne. No dobrze, a dokąd chcielibyście pojechać?

— Co by się stało z dowódcami i z żołnierzami, gdyby jutro armaty stały się niepotrzebne?

Pułkownik zrozumiał, że z sierżantem należy postępować bardzo ostrożnie. Dlatego uśmiechnął się do niego jak do dziecka.

— Tak, to ciekawe. Lubię rozmawiać na takie tematy. Moim zdaniem wybuchłaby wtedy panika: spadek akcji, samobójstwa. To byłoby tragiczne.

— A potem? — spytał sierżant. — Potem, kiedy wszyscy zrozumieliby, że to prawda i że już nikt nie ma broni, że wszyscy jesteśmy sobie równi i możemy rozpocząć nowe życie... Co wtedy by się stało?

— Chyba ludzie zaczęliby się znowu zbroić.

— A gdyby im przeszkodzono?

— Zaczęliby walczyć na pięści, a gdyby i tego ich pozbawiono, zaczęliby się opluwać. Gdybyśmy powycinali im języki, ci ludzie wypełniliby powietrze taką nienawiścią, że ptaki, muchy i komary pospadałyby martwe na ziemię.

— Pańskim zdaniem to nie miałoby żadnego sensu.

— Oczywiście! Cywilizacja zostałaby zniszczona na skutek takiego szoku.

Sierżant pokiwał głową.

— Pan po prostu chce przekonać siebie i mnie, bo przecież ma pan spokojną i wygodną pracę.

— Powiedzmy, że jest to w dziewięćdziesięciu procentach cynizm i tylko w dziesięciu — trzeźwa ocena sytuacji. Radzę wam, zapomnijcie o swojej rdzy.

Sierżant szybko uniósł głowę.

— Skąd pan wie, że ja... ją mam?

— Co macie?

— Rdzę.

— O czym wy mówicie?

— Pan wie, że ja to mogę zrobić. Gdybym chciał, mógłbym rozpocząć nawet dzisiaj.

Pułkownik roześmiał się:

— Wy chyba żartujecie...

— Nie, ja mówię zupełnie poważnie. Już dawno chciałem z panem porozmawiać. Cieszę się, że pan mnie zawołał. Dość długo pracowałem nad tym wynalazkiem. Wiele lat o tym marzyłem i wreszcie udało mi się. Cały pomysł oparty jest na budowie pewnych atomów. Muszę panu powiedzieć, że atomy stali, z której zbudowana jest broń, są ułożone w określonym porządku. Szukałem jakiegoś elementu, który by naruszył ich równowagę. Pan wie o tym, że ja studiowałem fizykę... W powietrzu zawsze znajduje się substancja wywołująca rdzewienie: para wodna. Należało znaleźć sposób na wywołanie „szoku nerwowego" stali. I wtedy para wodna zupełnie swobodnie mogłaby rozpocząć swoje działanie. Oczywiście, nie mam na myśli wszystkich przedmiotów metalowych. Nasza cywilizacja jest oparta na stali i dlatego działanie mojego wynalazku jest jednokierunkowe: chciałbym zniszczyć jedynie armaty, karabiny, pociski, czołgi, samoloty wojskowe, okręty marynarki wojennej. Gdyby zachodziła potrzeba, mógłbym swój przyrząd nastawić przeciwko miedzi, brązowi i aluminium. Mógłbym przejść koło każdego rodzaju broni i to już by wystarczyło, aby zostawić za sobą rdzawy pył.

Pułkownik pochylił się nad biurkiem i przez dłuższy czas z wielką uwagą patrzył na sierżanta. Potem wyjął z kieszeni wieczne pióro ze skuwką zrobioną z pocisku karabinowego i zaczął wypełniać formularz.

— Chciałbym, żebyście dzisiaj po południu poszli do lekarza. Niech on was zbada. Ja nie twierdzę, że wy jesteście poważnie chorzy, ale wydaje mi się, że pomoc lekarska jest wam na pewno potrzebna.

— Pan myśli, że ja pana oszukuję? — oburzył się sierżant. — Ten przyrząd jest taki mały, że mógłby się zmieścić w pudełku od zapałek. Promień jego działania — dziewięćdziesiąt mil. Mógłbym go nastawić na określony rodzaj stali i w ciągu kilku dni objechać całą Amerykę. Inne państwa nie byłyby w stanie prowadzić z nami wojny, ponieważ mógłbym zniszczyć całą ich broń. Pojechałbym również do Europy i w ciągu miesiąca pozbawiłbym ludzkość groźby wojny. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało mi się zrobić ten wynalazek. Już prawie miesiąc zastanawiam się, czy przystąpić do działania. To brzmi trochę nieprawdopodobnie, ale również nieprawdopodobną wydaje się bomba atomowa. W tej chwili zdecydowałem się. Pomogła mi w tym rozmowa z panem. Przedtem nikt nie wyobrażał sobie aparatów latających, nikt nie myślał, że atom może być narzędziem zniszczenia i teraz też wielu ludzi wątpi w to, że kiedyś na świecie może zapanować pokój. Ale pokój będzie, zapewniam pana.

— Tę kartkę proszę oddać lekarzowi.

Sierżant wstał.

— Czy to znaczy, że pan wysyła mnie do innego okręgu wojskowego?

— Nie, na razie nie. Rozmyśliłem się. Niech o wszystkim decyduje lekarz.

— Ja już zadecydowałem — powiedział sierżant. — Za kilka minut wyjdę z koszar. Bardzo przepraszam, że zabrałem panu tyle cennego czasu.

— Słuchajcie, sierżancie, nie obrażajcie się. Nikt z nas nie chce was skrzywdzić.

— Wiem o tym, ale to tylko dlatego, że nikt mi nie wierzy. Do widzenia.

Drzwi zamknęły się i pułkownik został sam. Przez chwilę stał niezdecydowany. Potem westchnął i otarł dłonią twarz.

Zadzwonił telefon. Pułkownik podniósł słuchawkę.

— Chciałbym z panem porozmawiać, doktorze. Tak, przyjdzie do pana. Niech pan go zbada dokładnie. Chyba powinien odpocząć. Oczywiście, to bardzo nieprzyjemna sprawa. On mówi od rzeczy. Moim zdaniem jest to skutek szesnastu lat wojny.

Pułkownik umilkł i słuchał kiwając głową.

— Chwileczkę, ja to sobie zapiszę...

Zaczął przeszukiwać kieszenie.

— Zaraz, tylko znajdę pióro. Proszę poczekać...

Odłożył słuchawkę, przeszukał biurko, szuflady i nagle zamarł z przerażenia. W kieszeni, w której znajdowało się pióro, znalazł jedynie trochę brunatnego pyłu. Pośpiesznie chwycił słuchawkę.

— Doktorze, proszę się wyłączyć!

Usłyszał trzask i zaczął nakręcać inny numer.

— Halo, wartownia! W każdej chwili może obok was przejść człowiek, którego wy znacie: Hallis. Zatrzymać go. Jeśli zajdzie potrzeba — zastrzelić, zastrzelić nie tracąc czasu na rozmowy, zrozumiano? Mówi pułkownik. Tak... zastrzelić tego łajdaka... jasne?

— Ja... nie mogę, no... po prostu nie mogę — jąkając się oponował ktoś na drugim końcu drutu.

— Co chcecie przez to powiedzieć, do jasnej cholery? Dlaczego nie możecie?

— Bo... — w słuchawce słychać było przyśpieszony oddech wartownika.

— Do broni! — wrzasnął pułkownik.

— Ja nie mogę strzelać — odpowiedział wartownik.

Pułkownik bezradnie opadł na krzesło ciężko dysząc. Czuł, że jest głuchy i ślepy. On wiedział, że tam, za tymi ścianami hangary zmieniają się w miękką czerwoną rdzę, rozsypują się samoloty, a czołgi pogrążają się w otchłań roztopionego asfaltu. Z ciężkich wojskowych ciężarówek pozostaje jedynie chmura pomarańczowego kurzu i tylko gumowe koła toczą się samotnie po drogach.

— Sir! — krzyknął wartownik, który widział to wszystko — przysięgam...

— Słuchajcie, słuchajcie! — ryczał pułkownik. — Złapcie go, zatrzymajcie, zaduście gołymi rękami, bijcie go, kopcie, zabijcie na śmierć. Zróbcie coś, musicie go zatrzymać!

Otworzył szufladę, wyjął kaburę żeby wyciągnąć pistolet. Kaburę wypełniała brązowa rdza. Klnąc zaczął biegać po pokoju. Chwycił krzesło i rzucił nim o ścianę. Krzesło rozleciało się. Pułkownik złapał leżącą na podłodze nogę i mocno ścisnął w dłoni.

— Tym też można — warknął zgrzytając zębami.

Rozejrzał się dokoła przekrwionymi oczyma i wyjąc dziko wybiegł z pokoju.

Przełożył:
ROMAN GORZELSKI

fraszki jana Czarnego

OPTYMIZM

Pracuję dzień cały
i nic się nie lenię,
a za mnie odpocznie
przyszłe pokolenie.

ANKIETA

Spytano krета,
pan też esteta?

*PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

Lewym okiem

HIERARCHIA

Przypuszczam, że krążą jeszcze między nami panie w reformach bohaterów narodowych i panowie w skarpetkach Obrońców Oksywia. Tak właśnie nazywano zakłady przemysłowe, oczywiście w jak najlepszych intencjach uczczenia wielkich ludzi i zdarzeń, ale w nie najlepszym guście. Na szczęście to się powoli zmienia. Wprawdzie nie ze względu na gust, tylko na to, że nazwy firm są za długie i albo się nie mieszczą na różnych winietkach, metkach, przywieszkach i stemplach, przyczepianych do towaru, albo stają się i tak — na skutek silnego zmniejszenia — nieczytelne.

Zmieniamy więc wszystko: nazwę zakładu, treść i formę winietki, opakowania, znak fabryczny. Ponieważ mało kto wie, jak to się robi, poświęcamy dziś temu tematowi mały wykładzik z częścią historyczną.

Przedsiębiorstwo — dla przykładu — średniej wielkości chce owijać swe wyroby w papier, zadrukowany wzorzyście i opatrzony zwięzłym hasłem reklamowym. Zaczyna od wzoru, od wymyślenia tego, co ma być na papierze nadrukowane; kreski, kółka, zwierzątka czy kwiatuszki. Mógł to kiedyś robić etatowy pracownik przedsiębiorstwa, przeważnie urzędnik od statystyki, obdarzony zdolnością rysowania zygzaków na marginesach kalendarza. Marnie. Więc zorganizowano uspołecznione pracownie plastyków, uprawnione do projektowania takich właśnie rzeczy. Plastycy byli zawodowi i koncesjonowani, wymyślali projekty w Zgierzu i w Olkuszu, które nie podobały się w Warszawie. Marnie.

Więc powołano komisje przy poszczególnych zjednoczeniach, żeby oglądały każdy projekt przygotowany przez koncesjonowanego plastyka. W komisji siedziało wielu urzędników i jeden-dwóch plastyków, którzy mieli swoje zdanie. O projektach i o ich autorach z uspołecznionych pracowni. Reszta komisji wstydziła się mieć swoje zdanie, żeby się nie narazić na podejrzenie o zły gust ze strony plastyków. Tak podejmowane decyzje odrzucały dziewięć na dziesięć projektów koncesjonowanych plastyków, co trochę dziwiło członków bez własnego zdania i resztę urzędników zjednoczenia. Jedną dziesiątą projektów zatwierdzały, ale nie wszystkie z nich podobały się w Warszawie. Marnie.

Więc powołano nadkomisję, żeby akceptowała wszystkie projekty w skali kraju. Paru urzędników i dwóch-trzech plastyków, którzy mają swoje zdanie. Jedynych dwóch (w skali kraju), obdarzonych prawdziwym gustem. W imię tego gustu odrzucają dziewięćdziesiąt dziewięć na sto przedłożonych projektów, opracowanych również przez plastyków, ale prowincjonalnych. Przynajmniej opakowania będą piękne i dobrze widziane w Warszawie. Świetnie.

Potem już leci gładko. Po kilkudziesięciu próbach, po paru miesiącach, jeden z kolejnych projektów uzyskuje najwyższą i jedyną legalną aprobatę, szczęśliwe przedsiębiorstwo legalizuje treść napisu, na przykład „Kupujcie wyroby z Lewym Okiem", biegnie do drukarni, składa zamówienie na papier drukowany i dowiaduje się, że kolejka minęła i że realizacja nastąpi za półtora roku. Po roku zaś nie ma już przedsiębiorstwa, albo jest, ale z Prawym Okiem, co wymaga nowych projektów.

Jeśli to jest nie opakowanie, tylko znak fabryczny, to musi być jeszcze zgłoszony w Urzędzie Patentowym; trzeba przecież sprawdzić, czy podobnych znaków już nie ma kto inny. Oczywiście, wszystkie są trochę podobne, bo akceptują je ci sami dwaj najwyższej klasy plastycy z nadkomisji. Tak samo, jak kiedyś inna nadkomisja zatwierdzała nazwy „Imienia Siedmiu Rozstrzelanych" i „Imienia Bohaterów Oksywia". Sprawdzanie musi potrwać, a może się też okazać, że skrzydło ptasie w znaku przypomina mewę z innego znaku, albo kogutа z jeszcze innego, albo w ogóle coś tam przypomina. Wtedy zaczyna się wszystko od początku, na nowe półtora roku.

Artysta ma jak wiadomo koncepcję i nie wypada nam wtrącać się między Wtajemniczonych. Tylko — kto by to pomyślał, że i koncepcje mają swoją hierarchię, i to jakże podobną do tej zwykłej, urzędniczej...

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam. 299.II.65, N-3.